№ 12. Warszawa, dnia 24 (12) Marca 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach. w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Dla uniknięcia opóźnień lub też braków w odbiorze pisma, abonenci nasi zechcą łaskawie pośpieszyć się z przesłaniem prenumeraty za nachodzący kwartał. Prośbę naszą polecamy ich uwadze z tem większym naciskiem, że znowu początkowe numery zeszłego kwartału wyczerpały się.

Wolność słowa.

Nienasyceni nigdy piwem i hulanką bursze niemieccy urządzili sobie w Wiedniu małą, językiem ich mówiąc, *knajpkę*, na którą między innymi zaprosili także cienie zmarłego Wagnera i — p. Schönera, posła do Rady państwa.

Cień Wagnera nie ukazał się, ale przybył p. Schönerer a odwdzięczając się za gościnne podjęcie, wypowiedział mowę, którą zakończył miłą i pożądaną dla zgromadzonych przepowiednią: „Czy wiesz młodzieży, kto wkrótce będzie twoim *panem*? Oto cesarz zjednoczonych Niemiec, który skroń swoją w niedługim czasie ozdobi także koroną czeską!... Nie rozsypuj się i bądź przygotowaną na tę ważną chwilę!"

Prawdziwie austryacką wiejące wolnomyślnością pierwsze z przytoczonych zdań, wypowiedziane przez członka stronnictwa liberalnego, pomijamy milczeniem; nie mamy bowiem zamiaru rozwodzić się w tej chwili nad rzekomym liberalizmem niemców austryackich. P. Schönerer obchodzi nas obecnie, jako wieszcz narodu niemieckiego, którego niechętna pangermańskiej Sybilli habsburska Austrya postanowiła, nie bacząc na *decorum* pieśniarza, miasto laurowym — cierniowym uczcić wieńcem, t. j. wsadzić do kozy.

Aby jednak zmusić wieszcza do przyjęcia podarku, w formie jednomiesięcznego czynszu za mieszkanie w c. k. zakładzie karnym ofiarowanego, potrzebował hr. Taaffe postarać się naprzód o odjęcie zuchwałemu posłowi przywileju nietykalności, o czem rozstrzyga sama Izba. A większość też Izby stanowi przecież stronnictwo autonomistów, których hrabia Taaffe— własne jego słowa — nauczył już czuć, myśleć i mówić po niemiecku i głosować po centralistycznemu...

Pod zarzutem przestępstwa politycznego od pierwszych parlamentarnego życia Austryi zawiązków staje dopiero drugi poseł. Pierwszym był Rogawski, którego w r. 1864 oskarżono o zbrodnię stanu. Sam fakt, że dwudziestoletni okres konstytucyjnego żywota drugi dopiero nastręcza wypadek zaburzenia przez posła spokoju publicznego w kierunku politycznym, nasuwa na myśl przypuszczenie, że zdarzyć się musiało coś prawdziwie niezwykłego, coś, co podwalinom monarchii Habsburgów grozi rzeczywiście wielkiem niebezpieczeństwem. Rzecz się ma tymczasem inaczej, a dla nas słowa Schönerera nie zawierają w sobie nic tak przestraszającego, ani nawet — dziwnego.

Co powiedział, pijąc na studenckiej biesiadzie zdrowie zjednoczonych niemców, to powtarza codziennie pierwszy lepszy bursz wiedeński lub pruski. Oficerowie austryaccy, nie mogąc w inny sposób uczuć swych wylewać na zewnątrz, szczególniejszym otaczają kultem bławatki, ulubione kwiaty cesarza Niemiec. *Wacht am Rhein* w każdej brzmi kawiarni. Te i tym podobne przejawy prusofilskich dążności niemców austryackich spotykać się dają na każdym kroku. Nie wszyscy biorą w nich udział, nie wszystkim bowiem sprawa ta leży tak gorąco na sercu i nie wszyscy spodziewają się wyciągnąć z niej korzyści; mimo to faktem jest, że stronnictwo prusofilskie nie kończy się na Schönererze.

Nie posądzi nas nikt zapewne o sprzyjanie zaznaczonemu przez nas wyżej prądowi. O ile z niemieckiego stanowiska jest on zupełnie naturalnym, o tyle dla innych narodowości austryackich niepożądanym wcale. Z chwilą bowiem urzeczywistnienia marzeń pangermańskiego stronnictwa oddani by zostali niemcom czesi przedewszystkiem, w części także polacy a bodaj czy nie inne także ludy. Dzisiejsza względna swoboda zamienioną by została w jarzmo jeszcze cięższe.

Przeciw dążnościom tym można jednak walczyć o wiele skuteczniej a bronią nierównie szlachetniejszą, niż szykana, którą jest bezwarunkowo postąpienie Izby z Schönererem. Co bowiem tysiące ludzi codziennie głosi, dozwolonem być winno tem bardziej przedstawicielowi ludu, jeżeli wolność słowa nie czczym tylko ma być frazesem, upiększającym konstytucyę, ale jednym z kardynalniejszych jej punktów. Stało się jednak inaczej. Sąd wiedeński wezwał Izbę do zdjęcia nietykalności z prawdomównego czy zuchwałego posła— Izba większością głosów do żądania prokuratoryi i sądu przychyliła się niezwłocznie.

Najsmutniejszem jednak dla nas z tego wszystkiego jest, że z wyjątkiem kilkunastu polskich posłów, którzy usunęli się od głosowania, całe zresztą Koło wotowało za wydaniem Schönerera. Najlepszy to dowód, jakim przejęte jest ono liberalizmem, skoro nawet w kwestyach najbardziej za-

sadniczych ustępuje rządowi. Tak tedy sztandar wolnomyślności, pod którym zawsze walczyła dawniej galicyjska delegacya, targa się w strzępy coraz bardziej albo staje się... chustką do nosa. Bo przecież *un drapeau, qu'on cache dans sa poche, c'est un mochoir...*

Całość i dobro Austryi mając przedewszystkiem na względzie, Koło nie najlepszą jednak tym razem oddało jej usługę... Schönerer bowiem, który, gdy sprawa jego weszła na stół Izby, sam domagał się zdjęcia nietykalności poselskiej, pewnym być musi widocznie, że wiedeński sąd przysięgłych uzna go niewinnym, skoro tak zuchwale los wyzywa i nie ogląda się na skutki. W razie takim ośmieszy się rząd przedewszystkiem a z nim wszyscy, którzy mu dopomagali. Jeżeli zaś obwiniony skazany zostanie choćby na parotygodniowe więzienie — do wieńca niepodległości przekonań dodaną mu jeszcze zostanie z rąk własnych nieprzyjaciół aureola męczeństwa, która bezsilnemu usługi oddaje częstokroć znacznie większe, niż silnemu bagnety... Jakikolwiek zaś obrót weźmie ta wcale niepotrzebnie zanadto rozdęta sprawa, piętnowani będą koledzy—sędziowie Schönerera, jako gnębiciele wolności, zwłaszcza, że ten żadnego nie dopuścił się *czynu* zbrodniczego, tylko przekonania swoje i marzenia *wypowiedział* publicznie.

Prawdziwie smutny widok przedstawia to nieszczęsne Koło w Wiedniu! Co krok stąpi, potyka się albo upada a z każdym dniem kuleje coraz bardziej...

Rew.

KAROL MARX.

(Wspomnienie pośmiertne).

Mesyasz socyalistyczny umarł, umarł człowiek, który jak Samson zatrząsł budową ekonomiczną cywilizowanego świata, który — chociaż nieodpowiedzialny za pojedyncze gwałty swych wyznawców — stworzył i podłożył pod Europę ciągle wybuchający dynamit. Nie Proudhon to zrobił, nie Owen, nie Lassale, nie wszyscy więksi lub mniejsi prorocy i apostołowie socyalizmu, ale przedewszystkiem K. Marx, który napisał dlań dotąd bez zmiany głoszoną ewangelię i wskazał drogę — związek międzynarodowy. Najbliżej niego stojący i wpływem najrówniejszy Lassale do naczelnego miejsca pretensyi rościć nie może. Był to przedewszystkiem entuzyasta, zapalony agitator, patryota niemiecki, wreszcie zwolennik przełomów spokojnych i prawnych. Co innego Marx: zimny, w sferę oderwanych rozmyślań wzniesiony, kosmopolita, kamienny wróg obecnego ustroju społecznego. Dużo jest przesady w następującem, niechętną ręką skreślonem porównaniu Mehringa tych dwu ludzi, ale różnica zasadnicza uchwycona trafnie. „Obaj — powiada on — mają nieco wspólnego, zarówno w zewnętrznych kolejach losu, jak i w duchowej naturze: żydowskie pochodzenie, świetne a co najmniej wygodne stanowisko, nienasyconą ambicyę i nieslychaną pracowitość. Po za tem wszakże charaktery ich były z gruntu różne, a nawet do pewnego stopnia wzajemnie się odpychające. Lassale był naturą Machabeuszów, zdolną do gorących uniesień i rzeczywistego zapału narodowego, podczas gdy Marx, zawsze liczący, grzebiący, zimny, powietrzem życia oddychał tylko w żelaznych regionach abstrakcyjnego kosmopolityzmu... Porywająca namiętność Lassale'a, nawet gdy wyradza się w robotę demogogiczną, pozostaje sympatyczniejszą, niż staranie wymędrkowane, trująco zaostrzone antytezy w publicznych proklamacyach Marxa; tam łapa lwa, tu zimno połyskujące oko węża."

Ów „wąż" urodził się w Trewirze (1818) i był synem wyższego urzędnika górniczego. Przebiegłszy kilka uniwersytetów, na których studyował prawo i filozofię, rzucił się do dziennikarstwa. W kolońskiej *Rheinischen Ze tung*, organie reńskiego liberalizmu, zaczął naprzód ostro krytykować obrady sejmu prowincyonalnego, a następnie (od r. 1842) objął redakcyę tej gazety, która wystąpiła tak groźnie, że aż musiano z Berlina przysłać osobnego dla niej cenzora a gdy to nie pomogło, ostatecznie ją zamknąć. Marx wyjechał do Paryża dla zajęcia się ekonomią społeczną. Tu wraz z A. Rugem podjął wydawanie *Deutsch-französischen Jahrbücher*, które po pierwszym tomie utknęły. Równocześnie ogłosił *Die heilige Familie*, satyrę przeciwko ówczesnej filozofii idealistycznej. Wypędzony przez Guizota z Francyi (1845), osiadł w Brukselli, gdzie wydał *Discours sur la libre-echange* oraz *Misère de la philosophie*, jako odpowiedź na *Philosophie de la misère* Proudhona. Tu rozpoczął także swoją działalność agitatorską i przystąpił (1847) do „związku komunistów," któremu nadał zupełnie inny kierunek. „Stowarzyszenie to, dotąd mniej lub więcej spiskujące — powiada cytowany przez Mehringa Engels — zamieniło się na prostą, tylko z konieczności tajemną organizacyę propagandy komunistycznej, *pierwszą* organizacyę niemieckiej partyi socyalno-demokratycznej... Był to zarazem pierwszy związek, który uwydatnił międzynarodowy charakter całego ruchu robotniczego i okazał to praktycznie; posiadał między innymi członkami anglików, belgów, węgrów, polaków itd. — zwłaszcza w Londynie urządzał międzynarodowe zgromadzenia robotnicze." Ta przemiana związku wyraziła się w „manifeście partyi komunistycznej," ogłoszonym przed rewolucyą lutową (1848) w językach angielskim, francuskim, niemieckim, włoskim, flamandzkim i duńskim. Manifest ten — jak zapewnia Mehring — nie miał innych skutków praktycznych, prócz zmiany w metodzie agitacyi: zamiast dawniejszej tajemnej wybrano jawną, która rozprzestrzeniając się szybko, przynieść miała lepsze owoce. I dla tego Marx odrzucił spiski, zamachy i morderstwa jako broń, chociaż nieustannie posądzano go o moralny nad tymi czynami patronat.

Po długiem wahaniu i Belgia wydaliła Marxa. Zabawiwszy krótko we Francyi, po rewolucyi marcowej wrócił znowu do Kolonii, gdzie z Engelsem, Freiligrathem założył *Neue Rheinische Zeitung*. Był to pierwszy dziennik w Niemczech, który interesy robotników otwarcie przeciwstawił interesom innych klas społecznych, dożył jednak zaledwie do 14 czerwca 1849. Marx schronił się znowu do Londynu. Stąd próbował wskrzesić gazetę w Hamburgu, ale ją zawieszono. Obok nieprzerwanej działalności pisarskiej (w której wyróżnić należy *18 Brumaire'a Ludwika Bonapartego*, zjadliwą satyrę na zamach stanu) kierował rozwojem i organizacyą związku komunistów aż do r. 1853, w którym zeszedł z pola działalności praktycznej. Po rozbracie podpierana przezeń budowa zaczęła się chylić, aż w dziesięć lat później runęła, ustąpiwszy miejsca nowej — „międzynarodowemu stowarzyszeniu robotników."

Pacyent pana Lolo

przez

Ch. Epheyre.

W pałacu Wunderbar, po nakarmieniu niedźwiedzia, mało miałem zajęcia. Pan się ze mnie śmiać będziesz, lecz przyznam się, żem korzystał z wolnego czasu i czytał wszystko, co znalazłem w bibliotece. Te przeklęte książki wiele mi złego zrobiły. Jeszcze głębiej wpadłem w manię rozmyślania i rozumowania. Skończyło się na tem, żem był przekonany, iż przypadek nie jest tylko przypadkiem, że zachodzi mnóstwo małych przyczyn, które sprowadzają wielkie wypadki, że nie można przewidzieć przyszłości, że każdy krok czyniony przez nas w życiu, stawiamy na beczce dynamitu, który co chwila wybuchnąć może... Lecz nie chcę wykładać panu mej całej teoryi; pan mądrzejszy jesteś odemnie; chcę tylko skończyć opowiadanie mej smutnej historyi.

Pewnego wieczoru, hrabia de Wunderbar czytając dziennik, spotkał te niewinne słowa: „W Japonii, pisał dziennikarz, klimat jest łagodniejszym niż w Europie." Ta niewinna sentencya zrobiła przewrót w umyśle mego pana. Hrabia był wolnym, bogatym; postanowił więc pojechać do Japonii, a ponieważ bardzo źle własnoręcznie się golił, zabrał mnie z sobą. Zostawiliśmy niedźwiedzia w pałacu, a sami siedliśmy na okręt w Tryeście.

Maelstrom był pięknym okrętem i żaden wypadek godny zanotowania nie przytrafił się nam do samego Hong-Kong. Lecz znalazła się tam mała skała, prawie na wierzchu wody, o którą nos naszego statku uderzył. Małe żyjątka tworzą te skały na dnie morskiem, aby się o nie uderzały statki. Tego wieczoru kapitan nasz cierpiał na newralgię. Patrząc na mapę, omylił się, i omyłka jego spowodowała rozbicie się Maelstroma.

Ja tylko ocalałem. Winienem to był belce, której się uczepiłem. Tak jest, panie, gdyby ta belka o pół metra dalej odemnie płynęła, nie byłbym teraz pacyentem p. Lolo, lecz służyłbym za pokarm wielkim rekinom, które we dnie i w nocy pływają po morzu chińskiem.

Kiedym się borykał z falami, moja rozumująca waryacya nie opuszczała mnie ani na chwilę; myślałem sobie: gdyby mój biedny pan nie rzucił wzrokiem na niedorzeczne słowa dziennika, lub gdyby był tak zręcznym, że umiałby sam się golić, leżałbym teraz na wygodnem łóżku w pałacu Wunderbar i nie byłbym narażony na pływanie śród rekinów o kilka mil od Schang-Haï.

Krótko mówiąc, jak pan widzi, ocalałem. W chwili, kiedy siły mię opuszczały i miałem już zanurzyć się... przechodził koło mnie statek holenderski. Spostrzeżono mnie, zawołano — i zawieziono do Batawii. Gdyby nie kapitan statku, nie wiedziałbym, co począć z sobą. Szanowny ten marynarz miał krewnego w Batawii i jemu mnie polecił. Dzięki temu w kilka dni po wylądowaniu byłem komisantem pana Van den Pruth.

Pan Van den Pruth miał córkę, ja zaś byłem sobie chłopcem niczego. Panna Celestyna Van den Pruth i ja przypadliśmy sobie do serca. Powiedzieliśmy o tem pryncypałowi. Był to człowiek bez żadnych przesądów, jak wszyscy mieszkający o kilka milionów mil od Europy. Zgodził się na nasz związek; wkrótce stałem się zięciem i spólnikiem pana Van den Pruth.

Kantor nasz niebawem pozyskał wielką wziętość. Posiadaliśmy obszerny magazyn

Marx osiadł w Londynie, zakopał się w bibliotece British Museum i zaczął wzbogacać swą wiedzę tym olbrzymim materyałem naukowym w dziedzinie ekonomii społecznej, który go wyniósł po nad wszystkich tej gałęzi badaczów. Jego erudycya stała się po prostu niezmierzoną. W r. 1859 ogłosił *Zur Kritik der politischen Oekonomie*. Tymczasem zdarzyły się wypadki, które wywarły wielki wpływ nietylko na niego, ale i na rozwój socyalizmu: nędza śród robotników angielskich i wysłanie przez Napoleona III do Londynu na wystawę (1862) francuskich. Jak wiadomo, oba te strumienie złączyły się nagle, zaburzyły się chwilowo w sprawie politycznej, najpoważniejszym jednak rezultatem ich spłynięcia się było „Międzynarodowe stowarzyszenie robotników.“ Po wielu zmianach w zarządzie tej instytucyi, przyjęła ona ostatecznie (1866) na kongresie genewskim program Marxa *). Rok 1867 był dla socyalizmu erą, był datą, w której ukazała się jego ewangielia, pierwszy tom słynnego dzieła *Das Kapital*, którego autor stał się odrazu papieżem dla socyalistycznego wyznania. Dzieło to, przetłomaczone na kilka języków, między innymi na rosyjski, dostarczyło olbrzymiej pobudki ruchowi, sformowało jego hasła i zasady, zawisło jak miecz Damoklesa nad głową całego ucywilizowanego świata. Niepodobna nam tu wykładać jego suchej, ścisłej, matematycznie rosprowadzonej treści, przedstawimy tylko główną esencyę, którą z niego umiejętnie Jaeger wycisnął: 1) Między wartością użytku i wymiany nie zachodzi żadna istotna łączność; 2) pierwiastek tworzący wartość (zamiany) spoczywa w pracy społecznej; miarą zatem tej wartości jest potrzebny do wytworzenia społeczny czas pracy. 3) Skutkiem podziału społeczeństwa na posiadaczów i nieposiadaczów, kapitalista (właściciel) kupuje pracę na rynku, płaci jej cenę zamienną, t. j. zwyczajne potrzeby życia a następnie rozporządza wartością użytkową, t. j. pracą całkowitą. 4) Z różnicy między wartością zamienną a użytkową powstaje nadwartość, praca nieopłacona, która jest dochodem kapitalisty, t. j. wyzyskiem. 5) Uniknąć tego można tylko przez wywłaszczenie kapitalistów, zamianę środków produkcyi — ziemi i narzędzi pracy — na własność zbiorową. Według tych zasad należy przekształcić społeczeństwo — a dokona tego stan czwarty.

Co tu wyrażamy w ogólnych, nie dla każdego zapewne zrozumiałych wnioskach, to Marx uzasadnia niezliczonymi, o wielkiej erudycyi świadczącymi argumentami, w formie niesłychanie trudnej, tak, że dzieło jego należy do najcięższych, jakie umysł ludzki kiedykolwiek spłodził.

Pisma nasze, które na *Kapitale* nie wyłamywały sobie mlecznych ząbków, przedstawiają Marxa jako niewinnego, „idealnego“ marzyciela, który nie uznawał bardzo realnych robót, jego imieniem pokrywanych. Świadczy to tylko o zupełnej nieznajomości rzeczy. Marx zamachów nie urządzał, dynamitu nie podkładał, ale w tych czynach widział naturalną konsekwencyę swej teoryi. O jego charakterze krążyły najrozmaitsze wieści, z których jedne przedstawiały go jako zatopionego w rozmyślaniach filozofa, drugie — jako ambitnego i pozbawionego wszelkich uczuć egoistę. Nie rozstrzygając tej kwestyi, przyznać musimy, że był to śród ekonomistów współczesnych najpotężniejszy umysł, którego wpływ przeniknął tak szeroko i głęboko w życie ucywilizowanego świata, że dziś nie możemy sobie nawet zdać sprawy ze skutków jego działalności. W tym jednym człowieku zawarł się cały orkan, cała burza naszego stulecia.

D.

*) Szczegółowszy obraz tej sprawy, który do krótkiego wspomnienia pośmiertnego nie należy, podało z niemieckich źródeł warszawskie *Ateneum*.

Z FRANCYI.

Paryż, 12 marca.

Rewolucya! — Połowa prawdy. — Dzisiejsza demagogia. — Pierwszy wybuch. — Zamiar ob. Michel. — Petycya 60 tysięcy. — Czyny ob. Michel. — Jak było rzeczywiście. —Przyczyny kryzysu.—Rada miejska.— Własność społeczna w rękach deklamatorów.—O co im chodzi? — Monarchiści w rewolucyi.

Telegraf, według zwyczaju, opowiedział już we wszystkich zakątkach świata cywilizowanego o piątkowych (9 b. m.) zajściach na Placu Inwalidów. Pewny jestem, że wielu polityków drążkowych, a pomiędzy nimi i gazety warszawskie rozprawiają teraz głośno lub szepczą tajemniczo o *rewolucyi*, którą *on* przewidywał. Paryż ma pod tym względem ustaloną reputacyę. Znam ludzi, święcie wierzących w to, iż francuzi dlatego tylko nie codzień robią rewolucyę, że przygotowanie wymaga dłuższego czasu.

W podobnych przekonaniach zawiera się akurat połowa prawdy. Francuz prędko poddaje się wrażeniom, łatwo się zapala i, będąc w masie, szybko się decyduje. Wszedłszy raz na jakąś drogę, rozumie swoje stanowisko i śmiało idzie do wszelkich następstw. Własności takich nie ma przesiąknięty ideą porządku anglik; brak ich wykazali niemcy w 1848 roku. Cechy te narodowego charakteru tłomaczą, dlaczego przy pewnych warunkach we Francyi łamano siłą zapory, ktore gdzieindziej miano cierpliwość usuwać bardziej ciągłymi i mniej gwałtownymi wysiłkami. Z drugiej jednak strony do tego potrzeba, aby istniały warunki, pozwalające wejść w grę istniejącej energii i stanowczości. Potrzeba, aby istniała idea, porywająca ku sobie znaczną część ludności i aby byli ludzie, umiejący wyzyskać zapał i niezadowolenie tłumów.

Czy dziś te warunki istnieją? Stanowczo odpowiedzieć można, że nie. Dotąd burzyła masy paryskie nadzieja ufundowania Respubliki. Dziś podobnej, ogólnie ukochanej myśli niema. Kilka razy już miałem sposobność stwierdzić fakt, że socyalizm tymczasem bardzo zimno jest przyjmowany przez tutejszą ludność robotniczą.

Istniejący stan polityczny pozwala wszystkim zużytkowywać swoje siły i zdolności na drodze prawnej, czy to w kierunku rządzącej partyi, czy w szeregach parlamentarnej lub dziennikarskiej opozycyi. Rzemiosło dawnych, potężnych demagogów jest dziś objawem nienormalnym, przechodzącym coraz bardziej w stan zanikania. To też spóźnieni adepci jego rekrutują się jedynie pomiędzy niedoborem inteligencyi i proletaryatu. Ludwika Michel i Feliks Pyat są tylko wybitniejszymi typami, lecz wcale wyjątku nie stanowią. Tajemnych organizacyj, bez których wybuch żaden obejść się nie może, niema tu teraz. A jeżeli się gdzie przechowały jakieś szczątki, lub zaimprowizowano jakieś koślawe naśladownictwo, zawdzięczać to tylko należy prawu bezwładności.

Piątkowe zajście było pierwszem głośnem przemówieniem przesilenia ekonomicznego, o którego złowrogich narodzinach oznajmiłem zeszłym razem. Czy będzie ostatniem — dziś przesądzać niepodobna; do czego doprowadzi tysiące nieszczęśliwców głód — nie wiadomo, może nawet do umożebnienia zamachu stanu. Jedno tylko pewne, że nie do rewolucyi.

---

kawy i ryżu, kredyt nasz był zapewniony. Kiedym doglądał ładowania na okręt towarów, rozmyślałem nad moim losem. Któżby mógł przewidzieć, że kilka mil od Schang-Hai spotka mnie, pływającego na belce, kuzyn pana Van den Pruth, negocyanta z Batawii? Wistocie niedźwiedzie mają szczęśliwe instynkta. Jeżeli wychodząc z Gratz, niedźwiedź mój skierował na lewo, to dla tego, żebym się stał mężem pięknej Celestyny Van den Pruth i żebym mógł sprzedawać towary kolonialne w kantorze.

Wszystko szło pomyślnie; lecz razu jednego ukazał się na morzu żaglowy statek angielski, idący z Manilli i przybijający do portu w Batawii. Przeklęty kawał gałgana, który się przyczepił do tylnego pokładu okrętu, zawierał w sobie zaród strasznej choroby. Żółta febra, grasująca w Manilii, zaniesioną została do Batawii i porobiła tam przerażające spustoszenia. W przeciągu czterdziestu ośmiu godzin umarł mój teść i żona, wymarła też czwarta część europejczyków osiadłych w mieście. I ja przechorowałem; skoro wróciłem do zdrowia, byłem zupełnie zrujnowany. Tak, panie, zrujnowany do szczętu! Kiedym leżał bez przytomności, jeden z malajskich służących moich był tak nieostrożny, że zapalił fajkę niedaleko od beczki z alkoholem. Alkohol się zajął, ogień rozszerzył się po całym magazynie i w niespełna dwie godziny wszystkie nasze bogactwa poszły w perzynę.

Chociaż już przyzwyczaiłem się do kaprysów fortuny, cios ten jednak był dla mnie okrutny! Jakto, dość było nieszczęśliwego kawałka szmaty zarażonej żółtą febrą, ażeby na zawsze zwichnąć mój los! Ach, lepiej bym zrobił, gdybym poszedł do grobu wraz z ukochaną, moją Van den Pruth, aniżeli żebym miał żyć wdowcem i zrujnowanym.

Batawia była teraz dla mnie wstrętną. Na szczęście została mi jeszcze szczupła suma pieniędzy, wystarczająca do wegetowania we Francyi. Otóż, pan zapewne wiesz, że kto miał zaszczyt urodzić się w Paryżu ten zwykle pragnie wrócić doń, chociażby go tam srodze bito kijami.

Wróciłem więc.

Niestety, łaskawy panie, rozumujące pomieszanie, któremu podlegałem w czasie, gdym na pół żywy leżał w stodole w Wunderbar, robiło szybkie postępy. Wyobraziłem sobie, że powinienem napisać pamiętniki i przekazać potomności skutki, które za sobą pociągnąć może fantazya niedźwiedzia. Zamieszkałem w malutkiem pokoiku na piątem piętrze przy ulicy St. Jacques i zabrałem się do pisania. Jeżeli praca moja będzie kiedykolwiek wydaną, obejmować ona będzie dziesięć tomów w 8-ce wielkiego formatu, tekst zaś drukowany petitem. Łatwo pan zrozumie, że nie potrafiłbym dać pojęcia o całości nawet w skróceniu. Dowiedz się pan tylko, że staram się wrócić do przyczyn i że chcę sobie objaśnić każdy wypadek. Tłomaczę w niem, dla czego niedźwiedź z Pireneów, stary żołnierz z Auvergnii, służąca z oberży, biorąca przez omyłkę inną butelkę, austryacki hrabia czytający dziennik, kapitan mający kuzyna w Batawii i malajski niewolnik palący fajkę obok beczki z alkoholem—dokładali po kolei wszelkich starań, ażebym w zakątku ulicy Saint-Jacques na piątem piętrze opisywał życie moje.

Mężczyźni, kobiety i niedźwiedzie stali mi się wstrętnemi. Jedyną przyjemnością moją było śledzić wypadki i zmiany losu mego. Opisywałem je szczegółowo i zwykle do późna w nocy pracowałem.

We dnie odpoczywałem, łapiąc wędką ryby na tarasie Pont Neuf. Ryb łapałem mało, lecz dużo rozmyślałem. Gdy przypadkiem kiełb uczepiał się wędki, wyciągałem go wzruszony z wody, pytając siebie, dla czego ten mianowicie a nie inn zawisł na haczyku Moushassaca, a nie są siada jego w łowieniu ryb.

W początkach ubiegłego tygodnia porozlepiano na rogach ulic odezwy, powołujące pozbawionych chleba robotników do zgromadzenia się na Placu Inwalidów dla „spokojnego“ (*pacifique*) domagania się chleba i pracy od rządu. Ministeryum, opierając się na prawie z r. 1849, oświadczyło jeszcze we środę wieczorem, że na żadną manifestacyę nie pozwoli, gdyż zebrania mogą się odbywać tylko w miejscach „zakrytych i zamkniętych.“

Około godziny 1½ po południu w dzień oznaczony zaczęły się skupiać gromadki bluzowej i cylindrowej publiczności na wspomnianym placu. Dokoła było mnóstwo policyi i nieco wojska. Zaczęto wzywać do rozejścia się. Jak zwykle w takich razach, spędzeni z jednego punktu zeszli się w drugim. Trwało to z 1½ godziny. Obywatelka L. Michel nie zaniedbała przybyć. Chciała natychmiast powtórzyć tysiączny któryś raz swoją piękną mowę o burżoazyi, złodziejach, niewolnikach i zemście, ale tumult nie pozwolił jej spełnić tego łatwego obowiązku. Dały się słyszeć okrzyki: do Elizeum! I część zebranych rzeczywiście przebyła Sekwanę i udała się do pałacu prezydenta. Grévy, zobaczywszy zbliżający się tłum, wziął kapelusz i wyszedł. zmięszał się z pierwszą napotkaną gromadką i tym sposobem przyjął udział w manifestacyi. Elizeum zostawało pod osłoną oddziału kawaleryi. To znacznie onieśmieliło nadciągających, krzyknęli kilka razy: chleba! rzucili parę przekleństw pojedynczych i zaczęli się rozchodzić.

Jeden z ułamków masy pierwotnej pod dowództwem niejakiego Letailleura dotarł znowu do Izby deputowanych. Tam przywódca wlazł na jakiś przedmiot i odczytał proklamacyę w formie prośby, ułożonej niby wskutek żądania grupy socyalistów-rewolucyonistów z 2 okręgu. W prośbie tej wyrażono, że ponieważ jest w Paryżu *dwa kroć sto tysięcy* robotników i robotnic bez chleba, więc *sześćdziesiąt tysięcy* zebranych na Placu Inwalidów *spokojnie uchwala* domagać się od rządu pomocy. Czy kto słyszał tę odezwę, nie wiadomo, bo dokoła panował gwar i nadchodzili policyanci. Szarża kawaleryi położyła ostateczny koniec manifestacyi około godz. 5.

Panna Michel pod pałac prezydenta naturalnie nie poszła. Gdzieżby się ona poniżyła do tego stopnia! Ona myślała o zamienieniu „spokojnej manifestacyi“ w rewolucyę. Pewnie ożyły w niej wspomnienia z Komuny, lub też może lękała się zatracenia sztuki rewolucyjnej. Przygotowała sobie naprzód sztandar. Znaleziono miotłę jakąś i czarny szal zawisł na długim jej trzonku. Obok wielkiej obywatelki stanęła angielka. przepasana czerwoną szarfą. Obie przewodniczki otoczyła świta umundurowana w szkarłatowe krawaty. Wspaniały ten oddział dotarł do bulwaru St. Germain. Oko panny Michel dostrzegło piekarnię, uznała, że nadeszła chwila rozpoczęcia dzieła sprawiedliwości, zwróciła się do ukrawatowanych: „Jesteście głodni, bierzcie więc chleb.“ Biedny piekarz bronił swego skromnego mienia, nic to nie pomogło: mężni wykonawcy wyższej woli tłukli szyby, talerze. Ciastka znikały w ustach i kieszeniach, a upragniony chleb i zwykłe bułki —poleciały do rynsztoka. Taka scena powtórzyła się dwa razy jeszcze, zanim oddział dotarł do bulwaru St. Michel. Wielka obywatelka wlazła na drabinę, obawiając się zapewne stracić sposobności do wypowiedzenia mowy, ale studenci, zobaczywszy taką niespodziankę w swojej dzielnicy, narobili okrzykami wesołości takiej wrzawy, że mówczyni słyszaną być nie mogła, a tymczasem nadciągnęła policya i pomogła obywatelce wydostać się z rozentuzyazmowanego kółka studenckiej uciechy.

Liczby 200,000 i 60,000, umieszczone w wyżej wzmiankowanej petycyi, podane zostały jedynie ze względu na swą okrągłość. Prawdziwe cyfry są o wiele mniej świetne. Ilość manifestujących wraz z ciekawymi widzami najwiarogodniejsze pisma podają na 3 — 5-ciu tysięcy. We wszystkich zajściach z policyą nie było ani jednego rannego. Aresztowano około 20 osób. Większą część ich natychmiast wypuszczono, resztę skazano na dnie lub tygodnie — kozy.

Nawet radykalne dzienniki, wszędzie gotowe chwycić sposobność dyskretowania rządu, przyznają, że zachowywanie się policyi było względnie bardzo łagodne.

Manifestacya miała przedewszystkiem tę dobrą stronę, że podniesiono kwestyę obecnego przesilenia. W szpaltach gazet i na licznych zebraniach rozpatrują teraz przyczyny i sposoby zaradzenia złemu. Za winowajcę uznano jednomyślnie okoliczności zewnętrzne. Norwegia nie chce przysyłać surowego materyału, lecz go sama obrabia, niemcy nauczyli się wykonywać delikatne wyroby, tak samo Stany Zjednoczone itd. Wszystko to prawda, ale liczba przyczyn na tem się nie kończy. Ciągła niepewność polityczna na rozwój przemysłu dodatnio wpłynąć nie mogła. Podczas obradowania przedsiębiorców z robotnikami na przedmieściu St. Antoine, przyczynę upadku stolarstwa francuskiego obie strony składały wzajemnie na siebie; która z nich miała racyę, trudno powiedzieć, może obie, może żadna. Przedsiębiorcy się skarżą, iż żądania robotników tak są wygórowane, że konkurencyi z zagranicą w żaden sposób co do cen wytrzymać nie można. Ciągłe bezrobocia pogorszają jeszcze stan. To też przedsiębiorcy jedni bankrutują, drudzy ledwie z dnia na dzień ciągnąć mogą. Robotnicy, stwierdzając ostatni fakt, winę jego przypisują fabrykantom. Przyjmowano niemców do fabryk, bo mało żądali, a ci teraz wrócili do siebie i korzystają z nauki i wzorów francuskich. Do Belgii posłano podczas bezrobocia zapomogę przedsiębiorcom, robotnicy tamtejsi ustąpić musieli i oto teraz niska płaca pozwala tanio sprzedawać wyroby.

Bądź co bądź, w każdym razie początek przesilenia we francuskim przemyśle nie od wczoraj się zaczął. Już od kilku lat odbyt wyrobów się zmniejszał, a nieraz większa ilość robotników znalazła się bez chleba. Musi być ktoś winien, że dotąd nie starano się zaradzić biedzie, że pozwolono sprawom dojść do tak silnego zaognienia. Lecz kto? Rząd? Nie, bo on zawsze tygodnie tylko u władzy popasał i, pogrążony w ciągłej walce o istnienie, o niczem innem myśleć nie mógł. Winną jest w znacznej części Rada municypalna. Ile razy tylko nieco robotników odprawiono z warsztatów, ona natychmiast korzystała z tej okoliczności, aby sobie popularność zjednywać tanim sposobem. Zaciągano milionowe pożyczki i improwizowano różne roboty. Rzecz prosta, że na wieść o otwartych ujściach dla pracy zbiegała się, i tak nadmiernie przybywająca do stolicy, ludność z prowincyi. Liczba kandydatów do głodu wzrastała, ciężar pożyczek spadał na samychże robotników w formie podwyżki w komornem i cenie produktów żywiowych. Prowincya tymczasem się wyludnia, a to fakt bardzo niepomyślny, jeżeli przypomnimy sobie, jaką rolę podobny kierunek rzeczy odegrał w historyi upadku Rzymu. Takie pożyczki zaciągnięto kilkakrotnie.

Ilość stron ujemnych bezsensownej gospodarki miasta na tem się nie kończy. Za zdobyte miliony burzono jedne domy, budowano nowe, często gorsze, prostowano ulice i t. d. Panowie radykalni radcy w każdej chwili umieją wygłosić gorącą

Pewnego wieczoru, po napisaniu jednego z najciekawszych rozdziałów mej biografii, zasnąłem, nie zgasiwszy lampy. Przez sen musiałem ją trącić, lampa spadła i zamiast zagasnąć, zapaliła muślinowe firanki u mego łóżka. Obudziłem się otoczony płomieniami. Dla czegóż nie mogłem obudzić się o minutę wcześniej? Pożaru by nie było!

Dom spalił się prawie do szczętu. Zarządzono śledztwo i zaprowadzono mię przed komisarza policyjnego. Nie mogłem się powstrzymać, aby mu nie powiedzieć, że gdyby angielski statek nie przyniósł żółtej febry w szmacie, dom mój w Batawii nigdyby się nie spalił. Przysłano mi dwóch lekarzy, i ci zaczęli mię badać. Opowiedziałem im, żem zasnął, że lampa stała po lewej stronie, że pewno za poruszeniem lewej ręki obaliłem ją. Panowie ci są nadzwyczaj ciekawi; chcieli wiedzieć o wszystkiem: zacząłem opowiadać im moją przeszłość. Lecz nie dali mi dokończyć. Być może nie pojmują, że wówczas tylko można zrozumieć istnienie istoty ludzkiej skoro się cofniemy do pierwszych przyczyn i że los mój byłby inny, gdybym d. 10 czerwca r. 1844 nie spotkał niedźwiedzia na Faubourg-Saint-Antoine.

Nie czuję się tutaj nieszczęśliwym; mogę spokojnie rozmyślać nad moim losem i jem do syta. Chociaż dom waryatów zwykle dobrze jest zamkniętym, być może jednak drzwi te otworzą się kiedykolwiek przede mną. Nie straciłem nadziei i czekam, ażeby ziarnko piasku, mucha, atom jaki jeszcze raz zmieniły mój los.

Pożegnałem Jakóba z mocnem przekonaniem, że biedak ten dotknięty jest pomieszaniem zmysłów — rozumującem. Cóż to za zboczenie chcieć objaśnić życie, rozplątać zawikłany motek, którym to życie jest oplątane!

Wróciłem niedługo do zakładu *Oubliettes*. Pan Lolo spotkał mnie pełnym sarkazmu uśmiechem...

— Odwiedziny pańskie nie przyniosły Jakóbowi szczęścia — rzekł: biedak został zraniony przez jednego waryata i pewno już się nie wywinie.

— Czy mogę się z nim widzieć?

— I owszem.

Zaprowadzono mnie do szpitala. Jakób z obwiązaną głową, blady, leżał na łóżku. Spostrzegłszy mnie, słabo się uśmiechnął.

— To nie ziarnko piasku, lecz gwóźdź— rzekł do mnie z cicha; gwóźdź, duży gwóźdź. Dozorca nasz Pachinot upuścił go na dziedzińcu przy mnie, kiedym spał. Nieszczęśliwy waryat, przechadzając się, podniósł go. Czy uwierzysz pan, że ten niewinny kawałek żelaza był przyczyną, iż się w tym nieszczęsnym waryacie objawiło pomieszanie na morderstwie. Wziął kamień i pocichutku zbliżył się do mnie. Głowa moja leżała na ławce. Pachinot patrzał, jak na drugiej stronie wróble się darły, siedząc na drzewie. Waryat skorzystał z tego: ostrożnie przybliżył gwóźdź do mej głowy i wielkim kamieniem wbił mi go do mózgu. Śmieszny! nie prawdaż, że śmieszny.

Trzeba będzie w pamiętnikach moich dodać taki koniec. Toby się nie stało, gdyby kuzyn pana Van den Pruth przepływał koło belki, która mię podtrzymywała, o dwie minuty później lub nawet gdyby Pachinot nie zgubił gwoździa na dziedzińcu.

Zaszedłem wkrótce potem do zakładu *Oubliettes*, ażeby się dowiedzieć o moim nieszczęsnym filozofie.

— Umarł — odrzekł wesoło pan Lolo. Dziś zrana otworzyłem ciało: można byłoby uratować go, gdyby gwóźdź był wbity o trzy milimetry wyżej.

---

przemowę o anti-społecznych dążnościach kapitalistów. Kapitałem jest wszelka przewyżka produkcyi nad konsumcyą, wszelka oszczędność, która pozwala potem ludzkości zajmować się wyszukiwaniem udoskonalonych środków do walki ze śmiercią. Przewyżka taka mogła powstać tylko wskutek zorganizowanego życia społecznego. Trwonienie lekkomyślne w taki lub inny sposób pracy przzodków jest ciężkim społecznym grzechem. Do takich należy burzenie domów, zatracanie jednej pracy na zniszczenie drugiej. Jest to oburzające.

Bezskuteczność, ba, szkodliwość użytych środków dla odwrócenia biedy jest tak oczywistą, iż trudno przypuścić, aby wielu członków Rady mogło w nie wierzyć. Pomimowoli przychodzi na myśl przypuszczenie, że jedyną racyą takiej polityki dzielnicowych mężów stanu jest chęć zapewnienia sobie wyboru. Cała nadzieja, że inteligentny i rozsądny robotnik francuski wkrótce zrozumie, jak z nim postępują. Chwila ta może niedaleka, kiedy na przeszkodzie do wykonywania takich wandalskich pomysłów stanie protest proletaryjatu. „Nie wolno, to praca przeszłych pokoleń dana nam do użytku nie do niszczenia. Przez marnotrawienie bogactw nie dochodzi się do usunięcia nędzy!“

Dziś znowu marzą o zniesieniu fortyfikacyi dokoła Paryża, ale środki się wyczerpały, nowej pożyczki zaciągnąć nie można. Nie ma czasu nawet osłabić strasznego nieszczęścia, wzrosłego do tych rozmiarów wskutek własnej winy. Naturalnie, o żadnem przyznaniu się do winy nikt nie wspomina. Przeciwnie, znaleziono nawet sposobność potępienia rządu. Czemu przeszkodził manifestacyi; byłaby rzecz do tych rozmiarów nie doszła, gdyby nie opór władzy. W Anglii np... w Stanach Zjednoczonych... Tak rezonuje *Justice*. Z pewnością gdyby anglików sprowadzono na meeting, to rząd nie broniłby, ale wobec bicia szyb i rabunku piekarni chyba nieobecność policyi byłaby bardzo godną nagany.

Sam jednak pomysł meetingu potępiają wszystkie bez wyjątku stronnictwa i dzienniki republikańskie, nie wyłączając nawet *Intrasigenta*. Pomysł wypadł z jakiegoś maleńkiego kółka anarchistów. O co im chodziło, trudno się domyśleć. Pewnie o „propagandę czynu.“

Sprowadzanie rozległości władzy rządu do minimum i domaganie się odeń chleba jest niedorzecznością. Oświadomienie mas, tak głośno wydzwaniane we wszelkich programach socyalistycznych, nie mogło być chyba celem zgiełkliwej manifestacyi. Że rewolucya dziś niemożebna i że nicby dać nie mogła, o tem sami oni najlepiej wiedzą. Wszelkie zamącenie spokoju pogorsza tylko klęskę. Chyba wróg robotników nic innego by wymyśleć nie mógł. Ale tu jest inna myśl. Czem gorzej tem lepiej. Czem więcej robotników znajdzie się w nędzy, tem prędzej wybuchnie rewolucya, owa upragniona rewolucya. Cóż z tego, że w konwulsyach głodowej gorączki zamrze myśl pierwotna; że w potokach gwałtu utonie na długo odrodzenie społeczne, tak przez wszystkich uczciwych ludzi pożądane!

Byłoby to smutne, gdyby autorowie takich karkołomnych projektów byli straszni. Oni są tylko śmieszni ze swymi pompatycznemi pozami na wielkich ludzi i wzbudzają litość bezsilnym szamotaniem się.

Doszło do tego, że monarchiści wzięli ich pod opiekę. Wszystkie legitymistyczne i bonapartystowskie pisma krzyczały, zapowiadały manifestacyę. *Figaro* zgóry głosił, że będzie 100,000 ludzi. Między zgromadzonymi na placu Inwalidów sprzedawano wciąż i wiele dzienników napoleońskich. Między kierownikami i aresztowanymi było kilku redaktorów pism monarchistycznych (*Clairon, Gaulois*). Widziano wielu deputowanych z prawicy i tytułowanych gwiazd dawnych rządów. Policya śledziła jednego bluzowego przywódcę; z placu demonstracyi udał się do redakcyi *Figara*, a potem do komisyi organizującej meeting.

Nareszcie Cassagnac (bonap.) i Mun (klerykał) interpelowali rząd w kwestyi piątkowych zajść. Dawno już gabinet takiego zwycięstwa nie odniósł. Cała lewica stanęła przeciwko całej prawicy i 406 głosów przyznała słuszność ministeryum (rozsądek w chwili niebezpieczeństwa). Odznaczył się Waldeck-Rousseau. Młody towarzysz Gambetty z wielkiego ministeryum w świetnej przemowie sprowadził znaczenie demonstracyi do jej właściwego znaczenia, tj. do zera.

Było tam z 1,000 zaledwie nieszczęśliwych robotników bez chleba; resztę stanowiły bandy recydywistów oraz poprzebierani i otwarcie występujący monarchiści. U jednego ze złapanych podczas rozboju piekarni znaleziono 60 fr., u drugiego 100, pewnie więc to nie byli ludzie, umierający z głodu.

(Tacy by też sobie nie kupowali szkarłatowych krawatów).

Na uwagę Cassagnaca, że gdyby oni (bonapartyści) wzięli się do manifestacyi, to by rzeczy nie tak wyglądały, minister spraw wewnętrznych odpowiedział mu, aby się uspokoił, gdyż w takim razie i zachowanie się rządu będzie inne.

Na wczoraj (niedziela) zwołany był powtórny meeting pod Hôtel de Ville, ale się nie udał zupełnie. Było tylko trochę wojska, policyi i nieco spacerującej świątecznej publiczności. W piątek robotnicy znaleźli się w mniejszości, tu ich wcale nie było.

Pomimo to monarchistyczne gazety donoszą o przyłączeniu się do malkontentów różnych organizacyi robotniczych. Wiele jest protestów przeciwko tym insynuacyom.

Między innymi Izba syndykalna urzędników (*employés*) handlowych i przemysłowych w ten sposób kończy odprawę daną *Gaulois*:

„Niech rojaliści wiedzą raz na zawsze, że robotnicy paryscy, którzy nie mają z nimi nic wspólnego, nie dadzą się wciągnąć w grę zarówno książąt, jak i jezuitów.

K. T.

JASEŁKA KRAKOWSKIE.

13 marca.

Kraków w nocy. — Dzbanek pieśni. — Ks. Dunajewski. — Odczyt Bobrzyńskiego. — Kandydaci. — Dr. Smolka. — Wygoda w Warszawie dla stańczyków.

Lubię w noc cichą a jasną, otwarłszy na oścież okno, poglądać z wysokości schroniska mego na ukołysany snem Kraków. Jakiż wtedy poczciwy ten stary gród Jagiellonów, jaki zacny i piękny! Choćbyś sypał talarami, pragnąc ujrzeć zwykłe dzienne widowisko: patryotyczne skalpowanie Wallenrodów naszej fabrykacyi — nie ujrzysz. Wszyscy szanują majestat nocy. Uszu twoich nie dobiegnie ani jeden krzyk obdzieranej z najdroższych uczuć ofiary, ani jeden jęk zdeptanego niewinnie człowieka, albo radosne śmiechy jego oprawców. Śpią patryoci: cicho dokoła, jasno i święcie! Jakiż ten Kraków poczciwy — w nocy! I ja śmiałem przez czas tak długi oczerniać niegrzecznie jego olśniewającej białości mury?!

Teraz więc:

„...jak żniwiarka przynosząca wianek,
Wam się, o drodzy państwo, pochylam do kolan,
I dwa zdrowia nalewam w jednej pieśni... *dzbanek*:
Przepięknych“ krakowianek
„I przezacnych...“

„O dosyć — jak woła Juliusz — niech resztę grobu cyprysy ochylą,“ niechaj nikt nie wie o poznańskim *dzbanku* pieśni p. Deotymy:

„Jej słońca drogi mlecznej nie omylą—
Zdziwiona blaskiem będzie się podnosić
Jako harmonii lekkiej głos, bez końca,
Ze słońc, na wielkie słońca — i nad słońca!“

Darujcie humor, w który wprawiło mnie wspomnienie pobytu p. Deotymy w Poznaniu. Radbym, jak ona, „improwizować...“

Pokłon wam, o Pasterzu! niech was... *trzoda* słucha!

zaintonowała dalej „królowa Saba“—i mimowoli wyrzekła bardzo mądre zdanie. Istotnie, niech ich słucha... *trzoda*, skoro ci pasterze chcą gnać swe stado do nieba—przez ciemnotę na ziemi.

O przykład nie trudno. Pouczyć nas może w tym względzie znana odezwa ks. biskupa Dunajewskiego, przeciw krak. Towarzystwu oświaty ludowej wymierzona, a o której wieść — jeżeli wolno mówić o sobie samym — przejęła mnie prawdziwym bólem. Zamach ten bowiem na instytucyę, mającą przed sobą tak doniosłe cele, przekonał mnie, że ks. Dunajewski nie wyrósł głową po nad tłum swych braci — że stojąc w Krakowie na czele spaczonego duchowieństwa, nie wskaże mu wzoru, jakim ksiądz być powinien, że nie błyśnie tem promiennem światłem, jaki oblewa niezapomniane nigdy cienie Kołłątajów, Stasziców i Konarskich. A ja tak w to wierzyłem! Nieokreślone jakieś zaufanie i wiarę pokładałem w tym człowieku, choć znany mi był zaledwie z widzenia. Jego blada, ściągła twarz, o smutnych a niewysłowionej słodyczy i rozumu oczach, dziwnie mi odbijała od pucułowatych, wielkich i bezmyślnych, całemi szwadronami uwijających się po Krakowie mnichów wszelkiego gatunku — i była jedną z tych, jakie zwykłem nadawać w marzeniach moich — ideałom.

„Lecz pierzchły dawno te uroki senne...“

W odezwie swej, jak wiadomo, zakazuje ks. biskup podwładnym mu popierać w jakikolwiek sposób krak. Towarzystwo oświaty, gdyż duchowy pokarm stowarzyszenia „nie ma być oparty na wierze katolickiej a jako taki jest trucizną dla ludu i całego narodu.“ Rozprawę o „truciznach“ w całości należy zostawić chłopcom aptekarskim do zabawy; nadmienić zaś tylko wypada, że, jak utrzymują wtajemniczeni w urodzenie się bulli ks. Dunajewskiego, powstała ona wskutek podrażnienia jego miłości własnej o to mianowicie, że „dopiero z pism publicznych dowiedział się o stowarzyszeniu, że nie udzielono mu swych ustaw, jak to uczyniono względem“ itd. Słowem, przełożywszy tekst bulli na język zwykłych śmiertelników, chodziło ks. Dunajewskiemu o złożenie czołobitności. Proboszczów zaproszono a biskupa pominięto — czyż to nie bezwyznaniowość? Uderzył tedy zagniewany augur w pioruny, przyklaśnięto mu w niebie stańczykowskiem i publicznie sprezentowano w *Czasie* odezwę, sądząc naiwnie, że to przyczyni się do zachwiania w posadach Towarzystwa. Już to po raz drugi godzi w nie służba hr. Potockich. O mdłości ją przyprawia sama myśl, że kierownictwo instytucyi wyrwało się jej z rąk, że postępowcy nasi zdobyli stanowisko, dzięki któremu wywierając wpływ na lud, będą mogli zczasem urość w znaczeniu. I tu właśnie leży rozwiązanie zagadki, dlaczego nie udało się Towarzystwo oświaty do ks. biskupa. Zaprosić go na „jakiegoś“ członka—niepodobna było bez ściągnięcia na się

obrazy bożej, a złożyć u stóp protektorat— to znowu było niebezpiecznym eksperymentem. *Hannibal ante portas, czyli Świdrzykowska jedzie!* rozumiesz mnie czytelniku? Jakiś ty domyślny! Wolę cię, niż *N. Reformę*, która nie chciała, czy też nie mogła zrozumieć, że znany historyk, pan Bobrzyński, jest zwolennikiem przekonań politycznych Jego Ekscellencyi p. Pawła Popiela i spółki. Powiada o tem wszystko— wydzwania na tę nutę lada ptaszek, szumi każdy wietrzyk, zupełnie jak zakochanemu chłopięciu śpiewa wszystko dokoła o miłości..

„Kocha“ — pluszcze staw,
„Kocha“ — szemrze zdrój,
„Kocha“ — brzęczy z traw
Złotych muszek rój.

„Kocha“ — słówkiem tem
Ziemia wkoło brzmi,
„Kocha“ — wiem już wiem!
Sama rzekła mi.“

Istotnie, sam to wyrzekł p. Bobrzyński w swym odczycie o Stańczyku. Ale *N. Reforma* pochwyciła parę goretszych frazesów prelegenta i na tej podstawie uwolniła go od p. Pawła Popiela. Zresztą dla tej „niebogiej“ mam wielką atencyę z powodu jej ze wszech miar uczciwego sądu o Bobrzyńskim. Był to u nas zapewne pierwszy głos podobny. Artykuły wykazywały błędne zapatrywania p. B. na pewne momenty w historyi naszej, jak również szkodliwość jego teoryj dla społeczeństwa, lecz nie należały do tego chóru, który ogłosił go nieukiem, szalbierzem i historykiem dla *rubli*... Szkoda tylko, że autor rozminął się z prawdą co do działalności pisarskiej Bobrzyńskiego, iż zrobił go tak wielkim, że aż płakać się chce. Może sądził, że tem przynęci go do postępowego obozu? Może — ale mylił się. Do nas nie przefruwają z innych obozów — bo i jakiż ma urok stronnictwo słabe, niemające wpływu nawet w *Länderbanku*?

Pojął to prof. dr. Smolka i w swym życiorysie Szujskiego już się stanowczo zdecydował, jakie ma odtąd stale wyznawać przekonania. Zapewne stanowczość ta u syna znanego liberała, prezydenta Rady państwa, nie nastąpiłaby jeszcze tak prędko, gdyby właśnie nie śmierć świeżo zgasłego historyka, po którym zawakowało miejsce wodza „moralnego rządu.“ Wodzem tym wszakże zostać nie łatwo. W każdym razie można posiąść choć drobny kamyczek z jego buławy. Sekretaryat Akademii, katedra historyi polskiej w uniwersytecie, sejm, Izba panów i t. d. są to ładne kąski. Patrzeliśmy też na smutkiem przejmujące widowisko: popisywanie się p. Smolki ze swemi kwalifikacyami. Egzamin wypadł doskonale: kandydat wybił parę pokłonów bogom stańczykowskim, osypał banalnemi pochlebstwami trumnę Szujskiego, a dla wykazania, że potrafił również być boksterem, przyłączył się w jednym z feljetonów swoich do osławionej napaści *Czasu* na T. T. Jeża. Nadzieje nie zawiodły: p. Smolka przedstawiony został na opróżnioną katedrę historyi polskiej. Przeczul to dobrze korespondent krakowski *Słowa*, któremu brakło wyrazów na wynurzenie radości, że jeszcze nie brak pretendentów do liberyi. Jak się ono tem szczyciło! „I właśnie w chwili — powiada w 58 nrze ów organ — gdy się zdawało, że przepadną te prawdy, za które walczył Szujski, staje otwarcie pod stańczykowskim sztandarem dwu ludzi, dotychczas w polityce *świeżych*: Bobrzyński i Smolka.“ Jaki podniosły! Już to *Słowo* jest prawdziwą wygodą w Warszawie dla naszych stańczyków. Gdy spuszczono do ziemi zwłoki Szujskiego, służyło specyalnie tym panom za cebrzyk do zlewania łez — *sui generis*. Płacząc i kwiląc rzewnie, miotano ubocznie potwarze na wszystkie strony, starano się chwilę ogólnego wzruszenia wyzyskać na swoją stronę. Fontanna, wyrzucająca wszelkiego rodzaju plugawstwa, funkcyonowała bez przerwy. Zaciągnięto pod nią całą galicyjską prasę postępową i usiłowano ją zohydzić.

Prawdzic.

Z Heidelberga.

Marzec, 1883.

Szowinizm i zimna woda: w Strasburgu, w Wiedniu w Berlinie. — Szowinizm w zakresie dziejopisarstwa: Janssen i Treitschke. — Rocznica urodzin Lutra. — Nowsze prace na polu litewszczyzny. — Pan Tadeusz w szacie niemieckiej. — Nowości książkowe bliżej nas dotyczące. — Laas, pozytywista niemiecki. — Pamiętniki gadziny. — Prorocy uraganów.

Szowinizm, czy u nas, czy u obcych, zarówno jest objawem wstrętnym, a co gorsza, szkodliwym: jest to narkotyk, pozbawiający człowieka trzeźwego i zdrowego poglądu na świat i ludzi. Z pewną tedy przyjemnością witamy rękę, która to szklanką, to wiadrem zimnej wody studzi rozgorączkowane głowy odurzających się zagorzalców, tak politycznych, jak kościelnych.

Właśnie w pobliskiej Alzacyi obradują na sejmiku krajowym nowokreowani obywatele rzeszy niemieckiej. Nakazano im z Berlina, aby w mowach nie używali języka francuskiego, do którego od dwóch wieków przywykli i przywiązali się. Tymczasem, na jednem z ostatnich posiedzeń, delegowany North, *przez roztargnienie*, rozpoczyna mowę w najczystszej francuszczyźnie. Przewodniczący, pan Schlumberger, ogląda się z niepokojem na komisarzów rządowych i przerywa mówcy, oświadczając, iż „rozprawy, do dalszego rozporządzenia, powinny być toczone w języku urzędowym;“ ale, zapewne także *przez roztargnienie*, admonicyę swoją wygłasza... także w najczystszej francuszczyźnie. Dziennik paryski *La France*, mówiąc o tem zajściu, dodaje wróżbę, że powtórzy się ono nieraz jeszcze zapewne, bo na 57 deputowanych alzacko-lotaryńskich, zaledwie ośmiu mówi znośnie po niemiecku, około czterdziestu rozumie ten język, ale mówi tylko miejscową gwarą, tak różną od brandeburskiej naprzykład, że komisarze p. Manteuffla pewno jej nie rozumieją, a jedenastu ani słówka po niemiecku nie umie.

Czy podziała ta szklanka zimnej wody na gorączkę niemczenia, nie wiem, ale to rzecz pewna, że w Strasburgu nie skończy się na tej jednej. A w Wiedniu p. Hausner to już pełnem wiadrem lunął w oczy szowinistom naddunajskim. A pana Stöckera, nadwornego kaznodzieję berlińskiego, wszystkiemi sikawkami wody zdrojowej starannie oblewają dzienniki i czasopisma niemieckie, które nie straciły jeszcze zmysłu liberalnego. Zagorzalcowi temu uderzyła krew do głowy, gdy się dowiedział, że rektor uniwersytetu berlińskiego, Du Bois-Reymond, na posiedzeniu publicznem tamecznej akademii umiejętności, ośmielił się twierdzić, że Darwin odkryciami swojemi sprowadził przewrot w przyrodnictwie i zasłużył na miano wielkiego człowieka. Stöckerowi zdaje się, że darwinizm sprzeczny jest z moralnością i religią, więc jako kaznodzieja nadworny a zarazem członek sejmu pruskiego, na jednem z ostatnich jego posiedzeń wezwał ministra oświaty, aby dał reprymendę zuchwałemu rektorowi. Jedno z pism humorystycznych tak to zajście opowiada. Panie ministrze, proszę upomnieć rektora uniwersytetu, aby takich ludzi niemoralnych i bezbożnych, jak Darwin, publicznie nie wysławiał. Na to minister: Czyś pan słyszał mowę Du Bois Reymonda? — Nie. Czy ją czytałeś?—Nie. Czy czytałeś dzieła Du Bois Reymonda? — Nie, o nie! — Czy czytałeś dzieła Darwina? — Nie, uchowaj Boże! — A no... to wprzód to wszystko poznaj, a potem gadaj.

Tak to wygląda w żarcie; ale naprawdę, poważniej na rzecz się zapatrując, w tym wyskoku Stöckera widzimy nie odosobniony jakiś wybryk, lecz jeden z licznych „znaków czasu,“ świadczących o ustalaniu się w atmosferze niemieckiej wiatrów reakcyjnych, potęgujących się od czasu do czasu w wichry szowinistyczne.

Najdogodniejszem polem dla tych wichrów jest dziejopisarstwo ojczyste. Na tym stepie, tak mało dotąd jeszcze uprzątniętym, duch wichru wieje, kędy chce. Pod jednym podmuchem zwiędłe liście i chwasty przeszłości układają się w takie kupki i gromady, jakich powiew sobie życzy; pod innym znowu prądem powietrza też same ścierniska i osty gromadzą się w inne zupełnie skupienia i kształty. Widzieliśmy i widzimy to u nas: jakże inaczej tłomaczył przeszłość naszą Lelewel, a jak ją przedstawia młodsza szkoła historyczna! A jakże cierpi na tem biedna męczennica, *prawda!*

W Niemczech zupełnie to samo, tylko na szerszą skalę, z udziałem daleko większej ilości piszących i czytających. Ostatnimi czasy wszczęła się namiętna walka o szaty ukrzyżowanej przeszłości niemieckiej: Janssen, ultramontanin katolicki, ciągnie ją ku sobie, a Treitschke, prusak i protestant, a przytem niezgorszy reakcyonista, wlecze ją ku Berlinowi. Ma się rozumieć, że stara tkanina dziejowa tyle tylko na tem zyskuje, że się rwie i pęka... Janssen pisze dzieje niemieckie okresu nowożytnego, od końca wieków średnich; Treitschke ogłasza historyę Niemiec najnowszą, wieku XIX. Dla jednego gwiazdą przewodnią jest Rzym, więc karykaturuje reformacyę, a obecne zjednoczenie Niemiec uważa za gwałt i bezprawie; drugi polityką i przewagę pruską poczytuje za najwyższe dobro ludzkości, nietylko w jej okazie niemieckim. Dawno publiczność tutejsza nie roznamiętniała się rownie jak w ostatnich kilku latach, z powodu tak sprzecznego obrazu tej samej rzeczy. Krytyki, anti-krytyki, repliki, dupliki, insynuacye, połajanki sypią się jak z rogu obfitości; a fakt historyczny stoi jak zimna, obojętna skała i czeka, aby ktoś bezstronny, bez namiętności i uprzedzenia, odczytał hieroglify, ktore na niej przeszłość wypisała.

A tymczasem zbliża się chwila wielkiego dla niemców znaczenia: czterechsetletnia rocznica urodzin Marcina Lutra (ur. 10 listopada 1483). Gotują ku uczczeniu jej wiele uroczystości; najpomyślniej, sądzę, będzie, gdy rok ten przyniesie ogłoszenie nowych dokumentów i nowych poglądów, dotyczących wielkiej chwili odrodzenia świata z początkiem XVI wieku. A czy nasi protestanci obdarzą nas czemś przy tej sposobności? Gdyby też zapełniono smutny brak w literaturze naszej i postarano się o dobre, obszerne, oryginalne, a chociażby dobrze przetłomaczone dzieło o historyi nowszej; bo wstyd wyznać, że nie posiadamy żadnej porządnej książki o dziejach nowożytnych!

Tak jakoś zasklepiamy się w ciasnem kółku pewnych domowych pytań i waśni, że powoli z rąk nam wysuwają się i takie specyalności, które z natury rzeczy powinnyby być dla nas obowiązującemi, bo w naszych rękach lepiej i łatwiejby się rozwinęły. Mówiąc to, mam na myśli litewszczyznę. Pisząc o niej dziesięć lat temu, wyraziłem obawę, iż pracę nad językiem, podaniami, historyą i geografią litewską wytrącają nam z rąk cudzoziemcy i że, jeżeli zaraz a raźnie nie zabierzemy się do

roboty, to obcy nas ubiegą. Wolałbym być fałszym prorokiem; ale, niestety, fakta przemawiają przeciwnie.

Przypatrzmy się działalności niemców na tem polu w ciągu kilku lat ostatnich.

W Tylży zawiązało się Towarzystwo literackie litewskie; w jesieni r. 1880 ododbyło pierwsze walne zgromadzenie, a do chwili obecnej liczy 216 członków, ogłosiło sześć zeszytów *Mittheilungen der litauischen liter. Gesellschaft*, zawierających różnorodne przyczynki do poznania mowy, dziejów języka i piśmiennictwa, podań i słownikarstwa litewskiego. Celem jego jest tymczasem ułożenie skarbca języka i wyczerpującej bibliografii, oraz uratowanie nikniących podań i pieśni ludowych. Członkiem może zostać każdy miłośnik litewszczyzny, opłacający rocznie trzy marki; jako taki otrzymuje bezpłatnie zbioropismo towarzystwa. Adres: Sekretariat der Litauischen literarischen Gesellschaft zu Tilsit.

Czytelnicy wiedzą zapewne, że w Królewcu, na uniwersytecie i w seminaryum duchownem wykłada się język litewski. Profesorami są dwaj zasłużeni na tem polu ludzie: Nesselmann, autor słownika litewsko-niemieckiego, wydawca i tłomacz Donalejtysa, zbioru pieśni ludowych litewskich i wielu innych pism, dotyczących języka litewskiego; drugi zaś, Kurschat, autor gramatyki litewskiej i dwóch wybornych słowników: niemiecko-litewskiego (1870—1874) i świeżo wydanego litewsko-niemieckiego. Nadto wychodzi w Prusach Książęcych kilka czasopism w języku litewskim, przeznaczonych dla ludu. Prof. Brückner ogłosił kilka lat temu badania nad wyrazami obcymi, używanymi przez litwinów. Bezzenberger i Geitler wydali dużo pomników dawnej litewszczyzny i przyczynków gramatycznych, słownikarskich i in. Brugman i Leskien świeżo ogłosili zbiór pieśni i podań od Wilkiszek i Godlewa. Hugon Weber wydał teksty wschodnio-litewskie (utwory poetyczne ks. Baranowskiego) z objaśnieniami gramatycznemi i graficznemi. Jacoby sporządził wypisy litewskie (1880) dla szkół, Schiekopp gramatykę szkolną (1881). Veckenstedt, nauczyciel gimnazyum w Lipawie, przez uczniów swoich litwinów zgromadził spory zasób podań i mitów żmudzkich i ogłasza je obecnie po niemiecku w Heidelbergu. A my? My nawet nie czytamy tego, co piszą cudzoziemcy. Jeden pan Juszkiewicz w Kazaniu nie zalega pola, ogłaszając pieśni ludu litewskiego, pracowicie zgromadzone przez zmarłego brata jego, księdza Antoniego. Przedwcześnie dla nauki stracony Ossowski przetłomaczył podobno poemat Donalejtysa (wiem o tem tymczasem z bibliograficznej wzmianki o treści w ostatnim zeszycie *Przeglądu polskiego* i nie omieszkam w swoim czasie podać bliższych szczegółów o tym przekładzie); wreszcie Lietuwis (pseudonim) wydał w Poznaniu litewski przekład *Witoloraudy* Kraszewskiego (1881—1882), a O. Kolberg, w *Zbiorze wiadomości do antropologii krajowej* (t. III, 1879) zamieścił szczupłą wiązankę pieśni ludowych litewskich od Alekoty. Oto i wszystko. Jest to tak mało, w porównaniu z tem, cobyśmy zrobić mogli i powinni, że czuję się upokorzonym i przygnębionym...

Niech nas pocieszy choć to uznanie, jakie *Pan Tadeusz* znajduje u niemców. Prawda, że przekład Lipinera, w którym się ukazał niedawno, tak jest wytworny i wierny, że godnie wielkiego poetę naszego wprowadza na widownię sądów obcych. Ma się rozumieć, że z kilku wierszy trudno jest mieć pojęcie o tłomaczeniu; nie mogąc dłuższego ustępu, podaję choć cztery pierwsze wiersze, aby dać słabe wyobrażenie o toku, mierze i kształcie szaty niemieckiej:

Lithauen! Wie die Gesundheit bist du, mein Vaterland!
Wer dich noch nie verloren, der hat dich nicht erkannt.
In deiner ganzen Schönheit prangst du heut' von mir!
So will ich von dir singen — denn mich verlangt nach dir!

Czasopisma dużo piszą obecnie o Mickiewiczu i *Panu Tadeuszu* z powodu ogłoszenia tego przekładu, a Normann wcielił już go do swego zbioru „Pereł literatury świata.“ Tak się nazywa nowonarodzone, oryginalne w swoim rodzaju wydawnictwo sztudgarckie: dla ułatwienia czytelnikom zaznajomienia się z arcydziełami poezyi, Normann podaje streszczenia ich, z przytoczeniem celujących ustępów i wskazówkami estetycznemi. Pomysł niezawodnie szczęśliwy i prawdopodobnie korzystny w przyszłości dla autora i nakładcy. Otóż pierwszy zeszyt obejmuje taki wyciąg z Wolffa *Myszeidy hammelńskiej* z utworów Saffo i początek ekstraktu z *Pana Tadeusza*.

Przy tej sposobności zwracam uwagę, czyją należy, na bliżej nas obchodzące publikacye zagraniczne. Dalton, niegdyś pastor petersburski, z tamecznych rękopisów biblioteki publicznej zebrał sporo zasobu do dziejów Jana Łaskiego i wydał niedawno p. t. „Johannes a Lasco“ (Gota u Perthesa); możeby, obok pracy A. Kraushara, monografia ta zasługiwała na bliższe u nas i przez nas poznanie i zużytkowanie. Foucart ogłosił w Nancy *La campagne de Pologne*, Pultusk—Golymin, 1806—1807, korzystając z archiwów paryskiego ministeryum wojny. Ferd. Müller, w zajmującym, popularnie i z rysunkami ułożonym opisie sybirskiej wyprawy towarzystwa geograficznego, daje nam poznać przedwcześnie zmarłego rodaka naszego, Czekanowskiego, pod którego wodzą wyprawa ta się odbyła w r. 1874 (*Unter Tungusen und Jakuten*. Lipsk 1882). Wreszcie znany biograf Kopernika, Prowe, świeżo ogłosił bardzo obszerny życiorys naszego astronoma, w Berlinie, p. t. *N. Copernicus*, tom pierwszy, w dwóch częściach.

Zaczepiwszy raz o piętnastotysięcznotomowy ocean wydawnictw niemieckich roku ubiegłego, niepodobna nie zwrócić uwagi na parę zjawisk wydatniejszych.

Filozofia pozytywna z Francyi przeszła do Anglii, a obecnie i w Niemczech przyjmować się zaczyna. Dotychczas luźnie i dorywczo uprawiana, w Laasie dopiero znalazła gorliwego i, jak mi się zdaje, zdolnego zwolennika. Ogłosił on kilka lat temu p. t. *Idealismus und Positivismus* (w Lipsku, 1879) część ogólną swojego poglądu, a obecnie opracował etykę, zapowiada zaś tom trzeci, zawierać mający teoryę poznawania (*Erkenntnisslehre*). Nie jest on ani czystym Comtystą, ani Millistą, lecz na podstawie pozytywizmu francusko-angielskiego pragnie zbudować nowy całokształt, zasilony zdobyczami pomysłów niemieckich; mianowicie, co do etyki, jakkolwiek opiera ją na zasadach czysto-ludzkich i empirycznych, uwolnić ją chce od domieszki utylitaryanizmu egoistycznego i ugruntować na fundamencie czysto socyologicznym; a co do teoryi poznawania, znajdując, iż pozytywiści francuscy, a w części i anglicy, zbyt małą rolę w całości swych zapatrywań wyznaczyli logice, a szczególnie psychologii, przyrzeka ją ożywić odpowiednimi nabytkami filozofii niemieckiej.

Dla językoznawców naszych pożądaną będzie nowina, że w Lipsku, pod kierunkiem młodego docenta Techmera, znanego z badań fizyologiczno - lingwistycznych, wychodzić ma międzynarodowy organ językoznawczy, ze współudziałem najgłośniejszych lingwistów całego świata; zawierać ma prace w różnych i o różnych językach i przyrzeka być ogniskiem lingwistyki całego świata. Vederemmo!

Pewne wrażenie sprawił tu pierwszy tom „Niedyskrecyi gadziny patryotycznej“ (*Indiscretionen eines patriotischen Reptils*), świeżo w Berlinie ogłoszony, bez wymienienia nazwiska autora. Dowiedziałem się, że jest nim dr. Wollheim, kawaler da Fonseca, trochę poeta, były redaktor różnych urzędowych i półurzędowych dzienników francuskich (podczas zajęcia części Francyi przez niemców), były agent dyplomatyczny na żołdzie niemieckim, a zresztą człowiek dowcipny i miły gawędziarz. W przedmowie usiłuje on oczyścić z brudu imię „gadziny,“ szukając mydła w patryotyzmie. Musiano jednak nie dość hojnie opłacać tego płaza, bo narzeka na dyplomatów i twierdzi, że poznani zbliska, tracą urok, owiewający ich w oczach gminu i są nietylko ludźmi pospolitymi, ale pospolitszymi od tej gawiedzi, która im się z podziwem przypatruje. W drugim tomie zamierza mówić przy sposobności o sprawie polskiej; a tymczasem, w pierwszym, opowiada swe misye tajne w Danii i Francyi. Widać z toku opowiadania, że głęboko wtajemniczonym w arkana dyplomacyi nie był; ale i ta cząstka zakulisowych tajemnic, którą podsłuchał, wiele ciekawych szczegółów i odsłonień zawiera.

Kończę, według dawnego programatu, gawędką o pogodzie. Że pory roku w Europie środkowej nie tak po sobie następują za naszych czasów, jak np. w kalendarzu, albo w oratoryum Haydna, o tem powszechnie wiadomo. Jakoż tutaj mieliśmy przeszłego lata jesień; potem w jesieni coś nakształt lata, w zimie jesień, a za to teraz, na wiosnę, zawisła nad naszą cząstką widnokręgu prawdziwa zima, ze śniegiem, mrozami i wichrami. Ale to rzecz ciekawa, że meteorologia amerykańska zdumiewać zaczyna swojemi przepowiedniami, Oznajmiono nam w grudniu jeszcze r. 1882 z Ameryki, że 11 i 12 stycznia b. r. srożyć się będą wichry i burze na Atlantyku i w Europie: i rzeczywiście, huragan stawił się w dniach tych z regularnością zaćmienia lub komety. Później, na początku lutego r. b. prorocy amerykańskiego biura meteorologicznego zapowiedzieli burzę na dzień 6 marca i, o dziwo, burza była. Więc może już naprawdę wydarliśmy tajemnicę chmurom i piorunom?

Jan Karłowicz.

NOWE PRZEKŁADY
STARYCH POEMATÓW.
PIEŚNI HOMERYCZNE I NIBELUNGI.

Iliada Homera, przełożył wierszem miarowym P. Popiel, wydanie II, Kraków, 1882. — Odyssea Homera, przekład K. Sienieńskiego, Warszawa 1876. — Niedola Nibelungów, przekład dra L. Germana, w szóstem sprawozdaniu dyrekcyi c. k. wyż. szkoły realnej w Krakowie, Kraków 1881. — Pieśń o Nibelungach, przełożył A. J. Szabrański, Warszawa 1882.

I.

Powiadają, że Karol V, ucząc się nowego języka, mawiał, iż wraz z tą nauką przybywa mu nowa niby dusza. Coś podobnego powiedzieć można, gdy jednostka lub ogół przyswaja sobie utwory poetyczne dawnych lub mało znanych narodów, szczególnie jeżeli utwory te odznaczają się wyższemi zaletami artystycznemi, a malują czasy i społeczeństwa różne od naszych. Otwierają się nowe widnokręgi, gdy je poznajemy; umysł przenosi się w nieznane sobie pojęcia i warunki, rozszerza się, pogłębia, wsiąka w siebie nowe żywioły, a potem nieco inaczej już patrzy na własne sprawy i myśli; twórczości jego

przybywają nowe zasiłki i czynniki; zmysł krytyczny zaostrza się i wydelikaca; jednostronność przechodzi stopniowo w wielostronność, a współczucie i współmyślenie, rozsuwając przyciasne granice plemienne, przekształcają się na wrażliwość i solidarność umysłu wszechludzką i wszechdziejową.

Z radością tedy witamy i witać powinniśmy wszelkie przyswajania utworów obcych, z tem większą, im te utwory są znakomitszymi i im przekłady ich są trafniejszymi i udatniejszymi.

Pisano u nas ostatnimi czasy dość wiele o tłomaczeniach Homera i Nibelungów; wyrażano wcale rozmaite zdania o ich wartości. Nie kreśliłbym słów tych, gdyby mi się nie zdawało, że przyczynkiem moim ku należytemu ich ocenieniu nieco się przyłożę. Że zaś zdania moje pod pewnym względem różnić się mogą od poglądu poprzedników, myślę, że będzie rzeczą stosowną odwołać się do pewnych zasad teoretycznych i sformułowawszy je, dopiero na ich skali raz jeszcze przekłady owe przemierzyć i zważyć.

Do kogóż się udamy w wątpliwościach teoryi i krytyki poetycznej? Może najstosowniej będzie wysłuchać zdania genialnego poety, który posiadał nietylko olbrzymią twórczość wieszcza, ale i wszechstronne, zdumiewające ukształcenie, oraz głęboki a wytrawny sąd krytyczny —jednem słowem Goethego.

W przypisach do „Zachodnio-wschodniego dywanu" *) rozwodzi się on nad sposobami i zaletami przyswajania utworów obcych. Odróżnia trzy epoki, które wszędzie i zawsze takowe przyswajanie przebywać musi. Pierwsza jest bezpośrednim, wiernem, prozaicznem, dosłownem odwzorowaniem oryginału poetycznego; jako typ służyć tu może przekład Biblii przez Lutra; jest to niby rozpuszczenie chemiczne, rozczyn perły obcej w płynie krajowym. Druga jest podstawieniem surogatów krajowych na miejsce ozdób i klejnotów cudzoziemskich, pragnie ona utwór poetyczny zastąpić płodem artystycznym, lecz poświęca właściwości pierwowzoru, aby je zamienić utartemi, popularnemi cechami własnego, domowego wyrobu: jest to epoka właściwie parodyjująca, a jako typy jej przytacza Goethe rozmaite przeróbki Delilla i Wielanda, dodając, iż „takie parafrazowanie poetów uważa za najsmutniejszy błąd, w jaki popaść może skądinąd pilny i uzdolniony tłomacz." Trzecia i ostatnia a najwyższa epoka jest poniekąd zwrotem ku pierwszej: przekłady wracają do bezwarunkowej wierności i dosłowności, ale je prześwietlają zaletami poetycznemi, słowem starają się przyswoić najwierniejszy obraz dzieła obcego, lecz w formie ze wszech miar artystycznej. Tym sposobem tworzy się niby koło postępu: trzecia faza łączy się z pierwszą. przekształcając ją i przenosząc w sferę sztuki, na której gruncie odbywa się zupełne zlanie żywiołów obcych z swojskimi.

Zdaje mi się, że wolno trzy te stopnie porównać z rozmaitemi przekształceniami znakomitych utworów muzycznych. Pierwszej fazie odpowiadać będzie np. wyciąg fortepianowy jakiejś wielkiej symfonii na orkiestrę; da on, jak fotografia o obrazie, wierne i źródłowe, że tak powiem, wyobrażenie, lecz nie powtórzy ani barw i odcieni instrumentacyi, ani kolejnego występowania, zamilkania lub jednoczenia się narzędzi. Drugą fazę upatrywać można w tak zwanych parafrazach, fantazyach, potpourri, reminiscencyach itp. utworach, w których gminowi muzycznemu podają się ulubione motywy, z upstrzeniem ich stereotypowemi ozdóbkami, waryacyami i figielkami; trzecią fazą, która wiernością zbliża się do pierwszej, będzie powtórzenie np. na skrzypcach medytacyi Gounoda, oryginalnie na śpiew napisanej, bez dodania najmniejszych fiorytur, z usiłowaniem naśladowania i uwydatnienia pod smyczkiem wszystkich odcieni śpiewu, nawet oddechów śpiewaka i nacisków na zgłoski i akcenty tekstu.

Pierwszą epokę nazwaćby można *kopiowaniem* pierwowzoru, drugą *przerabianiem*, albo, używając wyrazu, zawierającego w sobie pewną już przyganę, *przeróbką* jego, trzecią *odtwarzaniem*. Odtwarzanie tedy uważaćby można za połączenie kopiowania z ponownem niby stworzeniem oryginału.

Tak ustaliwszy probierz estetyczny, porozumiejmy się co do wymagań niższego rzędu, mianowicie co do strony technicznej przekładów.

Krótkiemi słowy je wyrażając, zdaje mi się, iż się nie omylę, wymagając od tłomacza: 1) dokładnej znajomości języka, z którego przekłada; 2) takiejże języka, na który tłomaczy; 3) obeznania się z duchem epoki, narodu, pojęciami i warunkami biologicznymi otoczenia, czyli jednem słowem z podstawą cywilizacyjną, na której wyrósł utwór, tłomaczyć się mający; i wreszcie 4) ujęcia nastroju i tonu retorycznego oraz językowego i dostrojenia przekładu do tego poziomu.

O wymaganiach, wyrażonych w pierwszym i trzecim punkcie, nie będę mówił obszerniej; zdaje się, iż nieporozumień co do nich być nie powinno. O postulatach drugim i czwartym łącznie winienem jednak nieco się rozszerzyć, gdyż, mniemam, zachodzi tego potrzeba.

Uchwycić wagę tonu i mowy oryginału jest rzeczą nader trudną; powtórzyć ją wiernie w tłomaczeniu, jeszcze trudniejszą, prawie niepodobną, dostępną chyba tylko genialnym poetom. Jedynym środkiem ratunku dla ogromnej większości zwykłych, utalentowanych, nie-genialnych tłomaczów, jest, sądzę, niewychodzenie poza granice najprostszej, potocznej, literackiej, powszechnej mowy krajowej. W razach zaś przekładania takich utworów, jak te, o których dzisiaj mówimy, środek ten tem więcej jest nakazany, ile że same te utwory odznaczają się nadzwyczajną prostotą wysłowienia. Wogóle więc, a w szczególności wobec pieśni homerycznych i Nibelungów, tłomacz zwyczajny, o miernem uzdolnieniu, uciekać się powinien do wulgaty językowej, że tak powiem, do takiego nastroju mowy ojczystej, któryby nie zwracał na siebie uwagi ani archaizmami, ani prowincyonalizmami, ani górnolotnymi lub wyszukanymi wyrazami, ani neologizmami, a to dla tego, iżby uwaga czytającego przekład mogła się spokojnie skupić na wewnętrznych znamionach utworu i nie była mącona jaskrawymi efektami niezwykłych słów i wyrażeń. Jakże wdzięczni jesteśmy Mozartowi n. p., gdy w Don Żuanie, lub Weselu Figara nie przeszkadza nam wrzaskliwymi lub wyszukanymi efektami orkiestry słuchać deklamacyi śpiewaków; a jak się żżymamy, kiedy, popisując się kombinacyami instrumentacyi, Meyerbeer lub Wagner nie dają nam wsłuchać się w tok melodyi, śpiewanej przez osoby działające na scenie.

Te hałaśliwe lub pretensyonalne wyskoki orkiestry, to w tłomaczeniu owe nienaturalne, wyszukane i wysmażone wyrazy, któremi niezdarny tłómacz usiłuje zagłuszyć brak prawdy i prostoty w toku swojego przekładu. Nie mówiąc tedy o elementarnej znajomości mowy ojczystej, wymagamy przedewszystkiem od tłómacza: najwyższej prostoty, nieprzechodzącej, ma się rozumieć, w trywialność, a obok tego i skutkiem tego, unikania wszelkich wyrazów i zwrotów, przekraczających granice zwykłej, potocznej mowy. Stokroć znośniej jest czytać przekład ody Horacego na wulgatę językową, niżeli np. odwrotnie słuchać tłomaczenia sielanki greckiej, upstrzonego wyrazami staroświeckimi, górnymi, wyszukanymi, prowincyonalnymi itd. Pojmuję, iż można sobie położyć za zadanie: przetłómaczyć jakiś utwór na staroświecką mowę swojego kraju, jak to np. uczynił Littré, przekładając Dantego na język starofrancuzki; ale w takim razie tłómaczenie winno być staroświeckiem od początku do końca, bez żadnych wyjątków. Lecz ponatykać bez celu tu i owdzie starożytnych wyrazów do języka nowożytnego, jest to popsuć wrażenie całości, bo nikt nie zrozumie i sam tłómacz nie potrafi wyjaśnić, na co to i po co? Toż samo i co do słów prowincyonalnych i wszelkich i innych niezwykłych. Obecność ich w utworze oryginalnym usprawiedliwia się i nieraz uzasadnia potrzebą charakterystyki miejsc i czasów; ale w tłómaczeniu dla czegoż np. Homer ma przemawiać ni stąd ni zowąd gwarą mazurską, albo huculską?

Ma się rozumieć, że koniecznie też wymaganą jest w tłómaczeniu jednostajność tonu i toku: nastrajanie się raz wyżej, to znów niżej psuje wrażenie i nic usprawiedliwia się niczem, bo pierwowzory początkowo luźne, w tym stanie, w jakim je dziś posiadamy, uległy poziomującemu przekształceniu i żadnych prawie nierówności w stylu i mowie obecnie nie przedstawiają.

(D. c. n.)

*) Sämmtliche Werke, wyd. 1840 r., tom IV od str. 322.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Dr. Łuczkiewicz **Wykład popularny o blednicy**, Wilno 1882.

Stylem jasnym, ubarwionym po części w wesołe uwagi i dowcipy, po części w filozoficzne, naukowe poglądy, opisał autor jedną z najczęstszych chorób, zdarzających się przeważnie u kobiet, szczególniej w wyższych, t. j. bogatszych sferach społeczeństwa. Wykład ściśle zastosowany do umysłu i upodobań przeciętnej czytelniczki; więc choć naukowo i wyczerpująco opisane zostały przyczyny tej choroby, objawy jej, a także sposoby zabezpieczenia się—to jednak czytanie broszurki nie nuży wcale, przeciwnie, przynosząc naukowy pożytek, stanowi jednocześnie rozrywkę.

Jeżeli po za temi zaletami mamy wykazać i usterki, to tylko drobne i nieliczne, a mianowicie zbytnie rozwodzenie się w kilku miejscach nad drobnostkami, niemającemi bezpośredniego znaczenia dla opisywanego przedmiotu, a także pewną fałszywą skromność w omawianiu „pod kwiatkiem," a skutkiem tego dosyć tajemniczo jednej z najważniejszych przyczyn bledności. Niejedna czytelniczka mogłaby niedomyślać się, o co chodzi i fałszywie sobie tłomaczyć słowa autora.

Podobne wykłady, pożyteczne i przyjemne, są u nas rzadkimi produktami literatury; można powiedzieć, że autor jest jedynym u nas popularyzatorem kwestyj czysto lekarskich, pomimo to jednak stoi zupełnie na wysokości swego zadania. Byłoby zatem do życzenia, żebyśmy z jego ręki częściej dostawali podobne prace.

L. W.

Leonard Sowiński. **Petro**, z życia ludu wiejskiego na Podolu przed pół wiekiem. Lwów. (*Biblioteka Mrówki*).

Sielanka w stylu czysto romantycznym: wszystko tu jest milutkie, dobre, poczciwe — anielskie prawie. „Dziateczki wesolutkie hożo..." w koszulkach czyściuteńkich... na szyjkach paciorczki... nóżęta bose, jak zwykle w lecie. Nawet natura dostraja się do tej harmonii: „śliweczka mała" spada na głowę staruszka, aby z nim „poswywolić.." gorzałka mierzy się na „wiaderka" a siano nazywa się „siankiem..."

Romantycy nasi, którym głód często dokuczał, lubowali się w dostatku chłopskiej chaty, w karmnych prosiakach, suto okraszonej kaszy itp. Pan Sowiński — z innych już zapewne powodów — nie okazuje również wstrętu do tych przysmaków. Petro, główny jego bohater jest „najpierwszym wsi był gospodarzem.“ W dzień swych imienin mógł on dla uraczenia licznych gości oddać i „starego wołu“ i „cielę“ i „baranów siedem,“ nie liczą drobiu i trunków. Zdaje się, że dla nadania temu obrazkowi cechy większego prawdopodobieństwa, autor powinienby się był cofnąć nie o lat 50, ale nieco dalej— do czasów poczciwego kołodzieja Piasta...

Stosunki Petra z dworem są również rozczulające, a najsłodszym ich wyrazem— „koszyczek smażonych w miodzie gruszeczek,“ które „panienka Marysia“ przynosi dla wnucząt starego gospodarza. Ten „miód“ w stosunkach dworsko-chłopskich jest ambrozyą dla wszystkich naszych kmiotkofilów, ale robi on też wrażenie lukrecyi na tych, którzy myślą, że rysów i szczelin budowy społecznej gliną zalepić nie można. O ile koszyczek słodkiej smażeniny nie zaspokoi wszystkich pragnień chłopa, o tyle też „dobrowolne podarunki“ Petrów nie zadawalały przed pół wiekiem dziedziców, którzy przekładali nad nie *niedobrowolną pańszczyznę*...

Nie robię bynajmniej autorowi wyrzutów za to, że taki, a nie inny namalował obrazek: szanuję wolność wyboru. Zaznaczam tylko, że podobne malowidła, osłabiając energię społeczeństwa, nie budzą jego uwagi w kierunku palących potrzeb chwili. Większym realizmem i większą, choć smutną prawdą oddycha końcowy ustęp poematu — *wieczór jesienny*. Domownicy Petra opowiadają sobie tutaj o różnych strachach i dziwach. Ciemnota ich nie próbuje nawet walczyć z potwornością cudackich wymysłów. W tem też miejscu poeta po raz już drugi wyprowadza na scenę cerkiewnego dziaka, który uważa, iż „gardzić gorzałeczką jest bardzo niebezpiecznie“ i oburza się na Petra za to, że z pewnym sceptycyzmem zapatrywać się waży na „psa białego, co na okół muru cerkiewnego po nocach biega we wsi.“

Drugą charakterystyczną, a niemniej prawdziwą sylwetką jest żyd, arendarz, zacny o tyle, o ile pozwala mu na to jego arendarzowska godność. Tuzinkowa przebiegłość żydka nie zawsze jednak odnosi łatwe zwycięstwo nad „chłopskim rozumem“ gospodarza.

Wogóle zauważyć należy, iż właściwy p. Sowińskiemu humor nie opuszcza go i tutaj. Ucierpiałyby na tem najbardziej wiejskie dziewczęta i baby, które albo podążają do cerkwi „niby gąsek stada“ albo kupią się nad krynicą „jak owieczek trzódka.“ W rozmowach:

„nie słucha prawie żadna, każda opowiada“

a zalotom zuchów wiejskich gotowe są stawić opór „głośny, ale... kruchy.“

Szata zewnętrza poematu nadzwyczaj prosta. Porównania często jędrne i dosadne — chociaż zbytkiem oryginalności nie grzeszą. Język, umyślnie zapewne kolorytem miejscowym zabarwiony i naszpikowany mnóstwem prowincyonalizmów— do czystości wielkich pretensyj rościć nie może.

M. B.

Prasa peryodyczna.

Biblioteka Warszawska. Styczeń i luty.

Oba nasze miesięczniki naukowo nie zdołały dotąd rozszerzyć szczupłego koła swych abonentów i ciągle pozostają odsunięte od granic uwagi powszechnej. Wynik to może po części zbyt ciężkiego ich kalibru, ale także i obojętności ogółu, który za lekką strawą zbyt goni. A jednakże znalazłby on w nich nieraz pouczające rozprawki i ciekawe wiadomości. Ponieważ pragniemy, ażeby poważne wydawnictwa, bez względu na ich kierunek, przenikały swym wpływem jak najdalej, więc w pewnych stałych odstępach czasu zatrzymamy uwagę naszych czytelników przy zeszytach *Biblioteki Warszawskiej* i *Ateneum*.

Dziś pomówimy o pierwszej.

Najświeższy swój rocznik rozpoczęła ona przekładem tragedyi Sofoklesa *Elektra*, którego dokonał wytrawny na tem polu pracownik p. Kaszewski. Wszystkie zalety jego tłomaczeń powtórzyły się tu znowu.

Godną wyróżnienia jest praca p. Józefa Przyborowskiego: „Przyczynki do historyi mennic wielkopolskich w końcu XVI wieku.“ Uzupełniając „skorowidz monet polskich od r. 1506 do 1825“ Karola Beyera, autor zestawia tu na kilkudziesięciu stronicach skrzętnie ze źródeł zebrane wiadomości o urzędnikach w królewskich mennicach Wielkopolski, czyli tak zwanych *myncarzach* (Pusch, Jahns, Rödiger, Knorr), daje wskazówki co do znaków każdej z nich, przedstawia tablicę chronologiczną działalności mennic królewskich w XVI wieku, ułożoną szeregiem lat od 1584 do 1599 i w końcu, wbrew zdaniu Łukaszewicza, wykazuje, że w r. 1598 mennica miejska w Poznaniu nie istniała wcale.

Artykuł pana Władysława Nehringa „O kierunkach nowszej literatury polskiej“ (styczeń), stanowiący dokończenie rozprawy tegoż autora rozpoczętej w zeszycie czerwcowym z roku zeszłego, nie pozbawiony jest zalet krytycznych, ale grzeszy brakiem ścisłości w rozbiorze i okropnościami językowemi. Autor bada wpływ na poezyę polską z przed 1830 r. nowszych poetów angielskich i niemieckich, mówi o szkole litewskiej i ukraińskiej i o przedstawicielach jej: Malczewskim, Goszczyńskim, Grozie, Olizarowskim i Zaleskim; najgłówniejszą zaś różnicę pomiędzy tą epoką a okresem, który bezpośrednio po niej w poezyi naszej nastąpił, upatruje w tem, że w tym ostatnim pierwszy nasi poczynają uderzać w uczucia obywatelskie, że najwyższą tendencyą ich utworów staje się dążność uwydatnienia, jak należy służyć krajowi. Jako przykłady utworów z taką myślą przytacza *Dzieje Wacława* Garczyńskiego, *Pana Tadeusza* Mickiewicza, *Kordyana* i *Anhellego* Słowackiego, *Nieboską komedyą* i *Irydyona* Krasińskiego, z których każdemu stosunkowo dosyć obszerne i wogóle trafne poświęca uwagi. Szkoda tylko, że uwagi te rozrzucone są w nieładzie, jakby od niechcenia i że przebiegając je, czytelnik spotyka się z wyrażeniami, jak: „szejne-katarynka“ (str. 70), Goszczyński *Maryę znicował*, jako coś nieswojskiego (71). „Mickiewicz i Słowacki byli Byronowi *kongenialni*“ (72). „Poemat ten (Dziady) pisany w niezwykłem *gorącu* ducha“ (75). „Kordyan ma przed innemi poematami Słowackiego tę *korzyść*“ (76), „dyabeł jest *upersonifikowaniem* żywiołów, które w Kordyanie szaleją“ (80), Anhelli zostaje sam i wnet *pogrąża go* zupełna ciemność (82) itp.

P. J. A. Święcicki, który w krótkim stosunkowo czasie dobiega do kresu znajomości wszystkich literatur kuli ziemskiej, pomieścił pracę p. t. „Eryk Gustaw Geijer i Izajasz Tegner.“ Z powodu jubileuszów stuletnich dwu tych znakomitych poetów szwedzkich, przedstawia autor treściwy rys rozwoju literatury szwedzkiej od czasów Gustawa III poczęwszy i następnie mówi o życiu i pismach obu pisarzów, przeplatając wykład przekładami wyjątków z ich poezyj, dokonanemi udatnie.

Oprócz tych prac ważniejszych, resztę obu zeszytów wypełniają zwykłe rubryki z treścią bieżącą. Katalogowa notatka „O zakładach naukowych ekonomii i statystyki we Francyi“ p. J. B. Oczapowskiego, który, jako specyalista w tym przedmiocie, mógłby i, występując publicznie, powinien był więcej i szczegółowiej powiedzieć o naukach tak ważnych i tak dziś żywotne mających znaczenie — mogła była urosnąć w artykuł obszerniejszy.

C.

Spółki rolne.

Zniewoleni własnym interesem i potrzebą zabezpieczenia plonów ziemi od wyzysku spekulantów małomiasteczkowych, właściciele ziemscy powzięli zamiar zsolidaryzowania się wspólnego i w tych widokach przystępują do organizacyi różnych spółek rolnych, których celem jest: udzielanie zaliczeń z krótszym lub dłuższym terminem na pewność spodziewanych zbiorów, przyjmowanie zboża na skład do punktów oznaczonych i ułatwianie zbytu jego przez wysyłkę w komis na handlowe domy zagraniczne.

Jak widzimy, wszystkie te zamierzenia dążą głównie do tego, aby uniknąć lichwy nieodstępnej przy każdej pożyczce, podnieść wartość produktu, właścicielowi zaś roli przynieść korzyść i zarobek, tak mocno wyczekiwany.

Nikt zaprzeczyć nie może, aby podobne spółki nie przynosiły znakomitej pomocy właścicielom ziemskim, mianowicie w terminie opłaty rat zaległych i bieżących Towarzystwa K. Z., tudzież w chwili najmu robotnika podczas żniwa, zwłaszcza teraz po uwłaszczeniu, kiedy tylko gospodarstwo parobczane istnieć może, a brak rąk do pracy silniej jeszcze uczuć im się daje przy zbiorze roślin okopowych. To też cieszymy się tą myślą, że choć powoli powstają u nas owe spółki rolne i właściciele chętny udział w nich biorą, ufni, iż może już na teraz pomyślnie się rozwiną i wyzwolą ich z ciężkich kłopotów, zwiastując spokojniejszą przyszłość.

Słuszność jednak wyznać każe, iż spółki tego rodzaju, jakkolwiek dla nas pożytecznemi stać się *mogą*, wszakże w sąsiednich nam ziemiach, w Poznańskiem i Prusach wschodnich, gdzie gospodarstwo rolne wysoko stoi, i w Galicyi, uwzględnione nie zostały a natomiast zaprowadzono tam stałe targi zbożowe, jak w Królewcu, w Gdańsku i we Lwowie a nawet i Wiedniu, dokąd zboże wszelkiego rodzaju jest wysyłane dla ułatwienia przybywającym tam kupcom hurtowym dopełniania zakupu. W tym celu właściciele ziemscy prowincyi zawiązali między sobą spółki z celami, o których wyżej mowa; ale już tym sposobem na targu zbożowym, sprzedając wprost od siebie nabywcy hurtownemu, ciągną stąd wszelkie zyski z pierwszej ręki i nie używają pośredniej drogi wysyłania zboża w komis za granicę, gdzie jeszcze w drodze lub na składzie ostatnim zdarzyć się mogą trudności, które na zniżkę wartości i straty producentów niepomyślnie wpłyną.

Nie przesądzając zatem tak ważnej dla nas sprawy (o zaprowadzeniu w Warszawie stałych targów zbożowych pisałem już w 1881 r. *Ekonomista* nr. 6, gdzie podałem odnośny projekt) mniemam, iż znajdą się zainteresowani, którzy poznają bliżej ten przedmiot i wyjaśnią: czy przy rozbudzonej u nas obecnie chęci do zakładania spółek rolnych, nie dałoby się ułatwić drogi zbytu zboża w jednej miejscowości kraju, jak to zrobiono we Lwowie, w Królewcu i w Gdańsku, nie szukając pośrednictwa zagranicznego.

Podobne zaprowadzenie zbytu zboża w Warszawie przyniosłoby wiele dogodności dla właścicieli, albowiem uwolniłoby ich od wynajdywania dla każdej spółki odpowiednich punktów do zwózki ziarna, stawiania tamże składów zbożowych w razie ich braku i oraz dozoru, co koszta wysokie pociąga, a przytem uwolniłoby ich od wielu podróży do tych miejscowości w których skupiałby się wspólny ich interes, i tym sposobem nadzieje zysku byłyby pewniejsze.

Może na ten raz głos mój zwróci uwagę ogółu ziemian, który podnoszę jedynie w ich sprawie.

Aleksander Bossakiewicz.

ODCZYTY NA OSADY ROLNE.

W. Gerson *Stosunek kultury do sztuk pięknych.*

Wykazać łączność rozwoju twórczości estetycznej z całością pochodu ludzkiej cywilizacyi—jest to zadanie szeroko nakreślone w duchu nowszej metody filozofii piękna. W zakresie dwu nawet popularnych wykładów trudno jest ująć głębszą treść tak postawionej kwestyi, można chyba tylko wskazać wytyczne punkty, główne objawy tej łączności, zasadnicze prawa, na mocy których najgłębsze prądy cywilizacyjne odbijają się wybitnie w utworach fantazyi. Dzisiejsza historyozofia wykazuje jedność i łączność rozwoju wszystkich gałęzi cywilizacyi, tak jak psychologia sprowadza całą wielość życia duchowego człowieka do rozwoju różnych stanów jego świadomości. P. Gerson jednak, podjąwszy to wielkie i ważne zadanie, przeprowadził je w znacznej części jako marzyciel, filozofujący potrosze na własną rękę, a nie stanął na gruncie jakiejś ściśle obmyślanej teoryi lub metody estetycznej. W pierwszym nawet odczycie nastroił się jakby na wizyonerski ton Krasińskiego, w rytmicznej formie słowa wypowiedział arcydługą, dydaktyczną odę na cześć sztuki greckiej, zakończoną trenami nad jej upadkiem pod ciosami twardego rzymskiego miecza. Były w tym pół mistycznym hymnie piękne ustępy, były myśli oryginalne, ale płynęły one mglistą czeredą, zacierając się wzajemnie, mieszały się z szeregiem scen i obrazów, oświetlonych jakby zorzą tajemniczego blasku. Dla znających dzieje sztuki i cywilizacyi greckiej był to pląsający w retoryczno-poetycznym tonie szereg pomieszanych faktów, obrazów i poglądów, dla mniej wtajemniczonych słuchaczów—chaos rzeczy mało zrozumiałych.

W drugim wykładzie prelegent zstąpił z hymnu do prostej powieści, ukazując narodziny różnych rodzajów i kierunków sztuki w epoce cywilizacyi chrześciańskiej, starając się wyjaśnić ich charakter. Wykład ten miał już więcej organicznej spójności i podobnie jak całość obu odczytów odznaczał się znaczną erudycyą w szczegółach, wielkiem zamiłowaniem przedmiotu, ale zupełnym brakiem ścisłości w formułowaniu estetycznych wniosków i sądów.

Niepodobna w treściwej wzmiance przeprowadzić szczegółową jego krytyki, zwrócimy tylko uwagę na pogląd prelegenta w kwestyi sztuki religijnej. Podług p. Gersona, upadła ona tylko w oczach tych, którzy nie chcą w niej widzieć religijnego znaczenia. Wobec jednomyślnych skarg wszystkich krytyków na wyjałowienie sztuki religijnej, która dzisiaj jest tylko przeróbką dawnych pomysłów a w najlepszym razie szczęśliwem przybliżeniem się do stylu i ducha dawnych mistrzów, wobec wzbierającej zewsząd w sztuce powodzi realizmu i impresyonizmu, będącego przeciwległym brzegiem religijnej symboliki oraz idealnej stylizacyi, niepodobna chyba zadawać kłamu oczywistości i twierdzić, że po Deloroche'u sztuka religijna nie upadła, łącznie z upadkiem całego romantyzmu, który był w znacznej części reakcyą wobec racyonalistycznych prądów zeszłego stulecia. Wogóle odczyty p. Gersona budziły szacunek krytyki dla swych głębszych intencyj i szczegółowych poglądów, ale niedość przystępny wykład sprawił, że treść ich nie bardzo pochwytną była dla większości słuchaczów.

PO ŚMIERCI.

Jeżeli zmarli unoszą ze sobą
Ostatniej chwili wspomnienie,
Muszą mieć serca okryte żałobą
Przez całe przyszłe istnienie.

Bo cóż z przeznaczeń otrzymują ręki,
Odchodząc w wieczności drogę?
Rodziny rozpacz, towarzyszów jęki,
Smutek, niepewność i trwogę...

Stwórca, być może, zaczem ich umieści
W słonecznym okręgu duchów,
Ściera z nich ślady przedśmiertnej boleści
I łzy wylane przez druhów.

Lecz sercom często drogą jest żałoba,
Swych smutków jak skarbu strzegą—
Więc cóż jutrzejsza znaczyłaby doba
Bez wspomnień dnia dzisiejszego?...

Wiktor Gomulicki.

LIBERUM VETO.

Termometr i niańka. — Baby w gorącej wodzie. — Bąbel czyli „Anarchia i konserwatyzm." — Co najmniej niepotrzebne i stanowczo niedorzeczne. Właściwe siedlisko anarchii.—Zapalczywy kaznodzieja. — De Maistre i Bonald. — Melancholia zakatarzonego żołądka. — Polemiczna myrra. — Zniesienie świąt w kilku pismach. — Prenumerata bez zmiany. — Prosty sposób uszczęśliwiania abonentów. — Zdejmowanie głów tureckich. — Wrażenia w Konstantynopolu. — Na cześć Sobieskiego.

„Zdaje mi się, że temperatura wody nie jest dobrą — mówiła troskliwa matka do nowej niańki — trzeba zanurzyć termometr."

„Cóż to takiego?"

„Instrument, który pokazuje, czy woda jest za ciepła, czy za zimna."

„Ja to mogę widzieć bez instrumentu; jeżeli Baby zsinieje, woda jest zimna, jeżeli poczernieje, gorąca."

Jakoż *Tygodnik Ilustrowany*, trzy miesięczny Baby młodej redakcyi poczerwieniał, gdyż nowa jego niańka nie zanurzyła termometru, którym ten organ tak chętnie popisywać się lubi, że aż go innym pożycza a przynajmniej zaleca. Dzięki zbyt gorącej wodzie na delikatnem ciałku wzdął się bąbel, nazwany *Anarchią i konserwatyzm.* Ma on wyrażać podwójną chorobę naszego społeczeństwa: zuchwały postęp „morowego powietrza" i wstydliwy konserwatyzm, który drży i drwi, ale nie używa „nieco zardzewiałej broni" De Maistre'a i Bonalda, a nadewszystko nie zabiera głosu „w sprawie naszej waluty papierowej, nie mówiąc już o bimetalizmie lub monometalizmie i podatkach." Tak napisano? Czarno, bardzo czarno na białem. „Mówić o anarchii i konserwatyzmie tam, gdzie niema żadnego życia publicznego, jest *co najmniej* rzeczą niepożyteczną" — powiada autor i wykazuje u nas... anarchię i konserwatyzm. Ma on zupełną słuszność, że jego całe bajanie jest *co najmniej* niepożytecznem, gdyż jest właściwie niedorzecznem. Bo naprzód, wyraz *anarchia* może być ścisłem określeniem tylko *stosunków* życiowych, społecznych lub państwowych, ale nigdy przekonań teoretycznych, będących znamionami naszych „partyjek;" powtóre jeżeli u nas istnieje anarchia umysłowa, to przedewszystkiem w głowie i artykule szanownego kaznodziei, który do kazania na czwartą niedzielę postu z ambony *Tygodnika Ilustrowanego* nie zbyt się przygotował. Skutkiem tego wiąże zjawiska, niepozostające z sobą w żadnej zależności, wywodzi wilka od owcy, każe ziębie wysiadywać jedwabniki, wypędza z wszystkich dyabła, w sporach naukowych widzi „czartowską jazdę na zasadach," a zamiast spokojnej obserwacyi i trzeźwych sądów, opryskuje słuchaczów płytkim pesymizmem, dowodzącym tego jedynie, że oprócz mówcy, cały świat tonie w grzechach i głupocie. Postępowcy to — według niego — „anarchiści," którzy w „zadymionej izbie (?) spożywają Darwina na pierwsze a Haeckla na drugie danie," to „morowe powietrze" — „chłopaczki" — „swywolniki" — „żółtodziobe młokosy" (zwracam uwagę na elegancyę przezwisk); konserwatyści — to tchórze, którzy boją się rozumu (tu wymysły bardziej umyte), którzy w „salonie słuchają i podziwiają epigonów romantyzmu." Gdy autor z pod swej klątwy nie wyłącza nawet *Tygodnika Ilustrowanego*, który przecież należy albo do anarchistów albo do konserwatystów, zdaje mi się, że słyszę znajomego mi proboszcza, który przerwawszy preferansa dla wypowiedzenia kazania, złajał za jednym zachodem z ambony i swoich partnerów, wyekspedyowawszy do piekła wszystkich, gwałcących święto grą w karty. Zmęczona w wynajdywaniu coraz nowych postaci natura, dla odpoczynku, obok ludzi z głębokiemi przekonaniami stwarza Filipów z Konopi, którzy od czasu do czasu wyskakują na pole walki umysłowej i pogroziwszy obu stronom, cofają się do swego ukrycia. Takim płodem odpoczywającej natury jest autor „Anarchii i konserwatyzmu." Czego on chce — prócz ulżenia swemu sercu łajaniem — nie wiadomo, mimo wezwania na pomoc Rulhiera, Konarskiego, Rousseau'a, Proudhona, Schaefflego, Trętowskiego i innych za włosy ściągniętych pisarzów. Przepraszam, poronił on jedno zrozumiałe zdanie: „Należałoby tedy konserwatystom poznać się *przynajmniej* z De Maistrem i Bonaldem, ażeby mogli *ich argumentami* wojować z przeciwnikiem." Jak wiadomo pierwszy z nich chciał świat oprzeć na dwu podwalinach: kacie i papieżu a porządek utrzymywać stosem i kijem, którego model spoczywałby „w czerwonym futerale" Przyszły ten patron naszego konserwatyzmu twierdził, że „dzięki inkwizycyi większe zapanowało szczęście i *spokój* w Hiszpanii, niż w reszcie Europy," tolerancyę zaś nazywał wymysłem dla „głupców." Bonald, jak gdyby stworzony z żebra De Maistre'a, ukoronował swą filozofię na stanowisku, ku któremu westchnienia nasze dotąd nie wzlatywały. Tacy to mężowie mają dostarczać „*nieco* zardzewiałej broni" naszemu konserwatyzmowi! Jeżeli to nie *lapsus calami*, spowodowany nieznajomością zalecanych wzorów, to bardzo nas cieszy taka szczerość. Teraz przynajmniej wiemy o co idzie, o... *Wieczory petersburskie* (tytuł dzieła De Maistre'a), przywrócenie stosu, inkwizycyi, kija i innych czynników cywilizacyjnych, od których nasi „anarchiści" odwracają się z takim wstrętem. Gdybym chciał a miałbym prawo czerpać z tego samego słownika, powiedziałbym, że jest to *nihilizm*, ścierający z literatury najświeższe znaki jej myśli, ale ponieważ nie mam upodobania do tego rodzaju przydomków

nazwę „Anarchię i konserwatyzm“ melancholią zakatrzonego żołądka. Autor może źle trawi — więc postępowcy i konserwatyści mu obrzydli. Inaczej trudno sobie wytłomaczyć to bezmyślne zrzędzenie, ten gorzki liryzm eunucha, przeklinającego przywiązanych do dzieci ojców, tę filozofię bolącego zęba, wyrzucającego drapieżność zdrowym, tę wreszcie napędzaną tchórzom „odwagę w obronie swej chorągwi“— bezimiennie. Nie jest to ani przedmiotowa krytyka naszych stosunków i walk umysłowych, ani ścisłe ważenie sądów i słów, zakadzonych „morowem powietrzem“ i inną myrrą polemiczną tegoż zapachu, ale jest to jedno więcej pisanie na wątróbce, eksplozya złego humoru, którego język silnie trąci atmosferą współczesnych, ale poza prasą zrodzonych oskarżeń.

Od 1 kwietnia będziemy mieli przyjemność słuchać najlepszego gatunku wymyślań dwa razy dziennie. Aż trzy pisma zniosły w swym kalendarzu niedziele i święta. Nic wiem, co o tem myśli *Przegląd Katolicki*, ale ja na jego miejscu miałbym cóś w tym przedmiocie do powiedzenia. Po katolicku biorąc, jest to—fe! Pomijam *Kuryer Codzienny*, którego pobożność stała się w ostatnich czasach dość podejrzaną, ale dwa inne dzienniki, które nawet Merkurego chciałyby kanonizować, unieważniły widocznie trzecie przykazanie. Boć jeżeli nie zecerów, to ekspedytorów i roznosicieli zmuszą do pracy w święta. O konkurencyo, o geszefcie, o businesie — jakże ty niemiłosiernie drwisz ze słów i zapewnień ludzkich! Kieszeń zagrożona — i wszyscy święci tracą swe prawa. Rzeczywiste hasła naszej prawowierności wygłasza żyd na podwórzach: handel, panowie, handel! Interes — powiada Larochefoucauld — jest tak wymownym, że nieraz przemawia nawet językiem bezinteresowności. Na dowodzenie tego cytaty w jednem z owych dzienników od 1 kwietnia antiświętujących: „Cena prenumeraty pozostaje *bez zmiany*; prenumeratorowie *wszakże*, odbierający w kioskach lub kantorach pism, uiszczać będą na *koszta administracyjne* porannego wydania w ilości dziesięciu kopiejek miesięcznie. Dla prenumeratorów *zaś*, życzących sobie, ażeby *Kuryer* był im dostarczany do mieszkań wprost z redakcyi, doplata... wynosić będzie, *niezależnie* od powyższego dodatku *również* kop. 10 miesięcznie.“ To jest, ponieważ wszyscy odbierają pismo w kioskach i kantorach, albo w domu, przeto pierwsi dopłacać będą *rs. 1 k. 20* a drudzy *rs.2 k. 40* rocznie — czyli „cena prenumeraty pozostaje bez zmiany.“ To się nazywa dyalektyka! Ani wiedziałem, że bardzo prostym sposobem mógłbym naszych abonentów uwolnić od wszelkiej opłaty i ogłosić: „*Prawdę* oddajemy darmo, tylko prenumeratorzy w Warszawie zapłacą 8 rs. a na prowincyi 10—na koszta administracyi.“ I ci ludzie mają się obliczać rzetelnie ze swymi przeciwnikami, jeśli takie wystawiają rachunki własnym abonentom!

Dyrekcya wyścigów konnych przygotowuje nam na lato bardzo piękną zabawę. W ogłoszonym programie uciech zapowiada między innemi: „zdejmowanie głowy *tureckiej* kopią lub ścinanie szablą“ i „podejmowanie głów z ziemi szablą.“ Boże — cóż to za piękny będzie popis naszego rycerstwa! Zdejmowanie i ścinanie głów—jakże to wzniośle „konserwatywne“ w stylu Bonalda i De Maistre'a! Nie rozumiałbym najbiedniejszego z panów, gdyby nie sprzedał na pniu ostatniej włóki zboża i nie przyjechał z żoną do Warszawy na to przedstawienie! Tylko cicho... sza!... żeby o tem nie dowiedział się jaki Francoz lub Sacher-Masoch! Wyraźnie zaznaczono, że paść mają głowy tureckie. W myśli rysuje mi się taki obraz. Jestem w Konstantynopolu, przechodzę ulicą i czytam afisz: „*Harce*: Nr. 2. Zdejmowanie głowy *polskiej* kopią lub ścinanie szablą.“ Krew zakipiałaby mi w żyłach, wzburzony pobiegłbym do domu i przesłał korespondencyę, pod którąby papier się palił i którą powtórzyłyby, dolawszy oliwy do ognia, wszystkie pisma warszawskie. Krzyczałyby one: to barbarzyństwo, to ohyda, to... Nie mogę dalej otwierać upustu naszemu przypuszczalnemu gniewowi, bo mógłby ktoś pomyśleć, że mam cóś przeciwko zamieszczeniu głowy tureckiej w programie naszych „harców.“ Bynajmniej. To będzie popis piękny, nieobrażający ani cywilizacyi ogółu, ani uczuć niczyich. Że tam jakiś turek zębami zgrzytnie — wielka rzecz. Albo to Sobieski z nimi żartował, głów tureckich nie ścinał! A rok bieżący przecież należy do obrońcy Wiednia. Myśleliśmy długo, jak by go uczcić: proponowano wydanie książki pamiątkowej, studyum, rysunków. Ale to wszystko głupstwo. Najmilej będzie dla niego w niebie i najszczytniej dla nas na ziemi, gdy w harcach na wystawie inwentarza zetniemy lub podniesiemy kilka głów tureckich. Czy nie?

Poseł Prawdy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 21 marca.

Sprawa irlandzka i eksplozye w Londynie. — Środki ostrożności w Paryżu. — Aresztowania w Hiszpanii. — Powiewy socyalno-rewolucyjne w Wiedniu. — Rozkład państwa otomańskiego. — Kandydatura Romanowicza we Lwowie.

Wyspy W. Brytanii drżą jeszcze od silnych wstrząśnień wewnętrznych w ostatnich tygodniach. Podczas gdy w Paryżu rocznica Komuny przeszła stosunkowo spokojnie, w Londynie natomiast prawdziwy postrach wywołały nowe wybuchy dynamitowe. Dopominania się Parnela o słuszne ustępstwa dla wyzyskiwanych przez lordów włościan irlandzkich zostały zimno i szyderczo odrzucone przez parlament angielski. Przyczyniły się znacznie do tego naciągane wywody p. Travelyana o mniemanych dobrych skutkach nowej ustawy rolnej w Irlandyi. Sekretarz stanu do spraw irlandzkich wykazywał, że obniżki czynszów dzierżawnych wynoszą ogółem aż 210,000 f. szt., a członek parlamentu Chaplain nazwał reformy żądane przez posłów irlandzkich rewolucyą społeczną i konfiskatą wielkiej własności na rzecz drobnych rolników. Po bladej mowie Gladstona przeciwko żądanym przez Irlandyę reformom poseł Sexton wystąpił z gwałtowną odpowiedzią, wykazującą ich nagłość. „Lud irlandzki, według niego, z odrzucenia swych żądań nauczy się, że nie może liczyć na żadne ministeryum angielskie, lecz tylko na własne siły. Gdy w Irlandyi panuje cisza, rząd odmawia wszelkich ustępstw!“ Słowa te znalazły złowrogie potwierdzenie w strasznym wybuchu pod murami ministeryum zarządów lokalnych w pobliżu parlamentu. W prasie angielskiej panuje skutkiem tego ogromne wzburzenie. *Times* woła, że czas miłosierdzia dla Irlandyi na zawsze przeminął i domaga się wystąpienia przeciwko przywódcom zamachów z całą surowością. *Daily News* porównywają sprawców eksplozyi z piratami, nazywają ich wrogami rodzaju ludzkiego i dowodzą, że obowiązkiem jest wszystkich państw i rządów wystąpić z nimi do walki. Nawet Gladstone, który przed paru laty odrzucił propozycyę wzajemnego wydawania przez państwa przestępców politycznych, teraz sam tę myśl podjął.

W Paryżu jakkolwiek po ostatnich manifestacyach robotniczych panuje spokój i ostatnia niedziela, pomimo groźnych zapowiedzi, przeszła bez awantury, rząd jednak przedsięwziął szerokie środki ostrożności. Załogi paryskie, skonsygnowane w koszarach, zostały znacznie wzmocnione przez oddziały ściągnięte z Wersalu. Prócz tego korpusy stojące w Reims, Lille i Rouen otrzymały rozkaz przygotowania wielu pułków tak, aby te gotowe były na pierwszy rozkaz do wymarszu na Paryż. Ogłoszono, że gdyby manifestanci, lub nawet ciekawi na pierwsze wezwanie przez bicie w bębny nie rozeszli się, będą aresztowani; jeśli w danej grupie znalazłyby się osoby uzbrojone, to cała grupa oporna uważana będzie za zbrojną. Prócz policyi zwyczajnej, trzymane były na pogotowiu silne oddziały wojska, a głównie kawaleryi. Bardziej jednak od wszystkich tych ostrożności do utrzymania spokoju przyczyniła się poważna postawa i odezwy całej prasy republikańskiej, która zalecała usilnie ludowi powstrzymanie się od ruchów, jak niemniej energiczne kroki rządu rzeczypospolitej dla przyjścia klasom roboczym z doraźną pomocą przez olbrzymie roboty publiczne.

W Hiszpanii aresztowania i śledztwa polityczne nie ustają. Świeżo w San-Lucar aresztowano wielu anarchistów, u których znaleziono wiele ważnych dokumentów: ustawy, okólniki, protokóły zgromadzenia itp. Wszystkie te papiery dowodzą, że tajne stowarzyszenia polityczne hiszpańskie zostają w ścisłych i ciągłych stosunkach z wielką międzynarodową organizacyą rewolucyjną.

W Wiedniu również uczuwać się dają nowe powiewy socyalno-rewolucyjne. Świeżo w wielu punktach stolicy Austryi, a zwłaszcza na przedmieściach ludowych, rozrzucono mnóstwo odezw socyalistycznych. Aresztowano w skutek tego dużo osób, przeważnie ze sfer rzemieślniczych. Niemało kłopotu rządowi austryackiemu sprawiają także agitacye pangermańskie z silnem ciążeniem do Niemiec. Według sprawozdania parlamentarnego, wśród tak zwanej uroczystości Wagnerowskiej w Wiedniu, w skutek której deputowany Schoenerer został oskarżony o zdradę stanu, słyszano między innemi okrzyki: „Niech żyje Bismark! Porwiemy się do rewolucyi!“ itp. Policya donosi w raporcie, że studenci zaprosili na ów komers posła niemieckiego księcia Reuss, któremu urządzili lożę honorową, ozdobioną herbami niemieckiemi. Starano się przytem usilnie, aby przygrywała muzyka „pułku cesarza niemieckiego“ i śpiewano niemiecki hymn *Wacht am Rhein.*

Rozkład państwa otomańskiego postępuje z dniem każdym. Zbutwiałe nici jego sieci administracyjnej targają się co chwila. Gospodarstwo finansowe przechodzi tam w nieład ostateczny. W kasie państwa panują takie pustki, że wojsku zamiast żołdu i żywności wydawane bywają asygnacye kasowe, wypłacane tylko do wysokości 60%. Ponieważ jednak i w kasach okręgowych wielki brak pieniędzy, interesanci przeto muszą urządzać formalne zasadzki na błogie chwile, w których kasy otrzymują gotówkę. Wytworzył się w skutek tego rodzaj pośredników tak zwanych „havales,“ którzy nabywają od oficerów i żołnierzy ich asygnacye i realizują je w kasach dopiero przy zdarzonej sposobności, zarabiając na tem do 30%. Tym sposobem żołnierz otrzymuje do ręki zaledwie trzecią część żołdu i żywności. Niezadowolenie w armii stąd niezmierne i rozprzężenie nieopisane pod każdym względem.

Według ostatnich wiadomości, we Lwowie wystąpił jako kandydat do rady państwa wiedeńskiej p. Romanowicz redaktor *N. Reformy* krakowskiej. W przemowie swojej krytykował on bardzo ostro działalność Koła polskiego, postępowanie ministeryum, a głównie austryacką polityke finansową.

S. C.

CUDZE GŁOSY.

Sprawa „prowizyi" dra Kamińskiego, znajdująca się obecnie w stadyum podwójnego, bo parlamentarnego i sądowego śledztwa, mieni się, niby bazyliszek, nieustannie zarówno w krajowej, jak i zagranicznej prasie, występując raz w brudnych, to znów jaśniejszych kolorach. Zależy to częstokroć nie tyle od rzeczywistego jej stanu, ile od osobistych sympatyj i antypatyj danego pisma. Bacząc na to, jak niemniej ze względu na toczące się ciągle jeszcze śledztwo, głosów tych nie notujemy wcale, bo nie przyczyniają się one ani trochę do rozplątania wielce zagmatwanego węzła. W ostatnich jednak czasach wyczytaliśmy w dziennikach galicyjskich słowa, pozwalające wnosić, jeżeli nie o zupełnej niewinności, to przynajmniej częściowo usprawiedliwiające dra Kamińskiego a pochodzące z ust tak poważnych, że powtórzenie ich tutaj uważamy za moralny nasz obowiązek.

„Jakkolwiek—pisze prezydent Smolka do p. K. — niejednego na razie nie mogłem sobie wytłomaczyć, byłem przecież z góry przekonany, że mogłeś zbłądzić, postąpić nierozważnie lub nawet lekkomyślnie, lecz. że nie popełniłeś nieuczciwości. Wiem dziś bowiem, jako do tego fatalnego kroku zmuszony byłeś zagrożeniem, że sprawa i tak publicznie będzie rozbieraną, gdyż związani z tobą wspólnicy zdecydowani są wystąpić z procesem. Wiadomo mi także, że pobieżnie odczytałeś pozew i bez zastanowienia go podpisałeś, co jest powodem, iż zawiera on szczegóły, za które nie odpowiadasz.

Znane mi są dobrze przygody twego żywota; zamiary twoje były zawsze szlachetne. Wiadomo mi urzędownie, że pragnąc zbawiennie działać w interesie m, Stanisławowa, majątek straciłeś i w długi popadłeś. Sumienne moje zatem przekonanie jest, że w ciężkiem twojem utrapieniu majątkowem, mając liczną, co do przyszłości niezabezpieczoną rodzinę, pragnąc się ratować, mogłeś zbłądzić, postąpić nierozważnie, lekkomyślnie nawet, lecz że mimo to jesteś uczciwym człowiekiem. Przekonanie to moje wypowiadam wszędzie, gdziekolwiek jestem o nie pytany.

Niech ci to posłuży za pociechę, że po otrzymanych wyjaśnieniach przekonanie moje podzielają najpoważniejsi członkowie Koła polskiego i Izby. Miej więc nadzieję, że podniesiesz się jeszcze z ciężkiego upadku, czego ci życzę z całego serca."

W ten sposób odzywa się człowiek, którego cała długoletnia przeszłość, na najrozmaitszych wysokich stanowiskach spędzona, była zawsze nieskalaną. W liście jego jest wprawdzie wiele wzmianek o „nierozwadze," „lekkomyślności" a nawet „fatalnym kroku," w formie przypuszczeń wypowiedzianych, z całości przecież zbyt silne wieje przekonanie o niewinności zawczesnego może (w każdym razie z własnej winy) skazańca, aby przypuszczenia te nie zdołały się w mgłę rozwiać.

Co do nas, to na podstawie własnego pozwu pana K. z całą postępek jego osądziliśmy surowością, najsurowiej może ze wszystkich pism polskich; mimo to ze szczerą powitalibyśmy radością ogłoszenie wyroku niewinności jego osoby, której udział w nieszczęsnej sprawie kolei transwersalnej tak niefortunnie na swoją niekorzyść sam opisał, czy też opisać polecił, że Koło polskie ujrzało się zmuszonem odsądzić go od czci poselskiej.

Przechodzenie ziemi polskiej w Poznańskiem w ręce niemieckie stanowi niewyczerpany materyał do notatek dla kronikarzy tamtejszych dzienników. Trudno się końca dopatrzeć tego smutnego stanu, albo raczej spostrzegamy gwałtowne zbliżanie się końca, ale bardzo tragicznego. Oto np. z powiatu pleszewskiego donosi korespondent *Dziennika Pozn.*, że w tym jednym tylko Wielkopolski zakątku przeszło w ręce niemieckie w ostatnich 10 latach 19 większych polskich majątków. Przed kilku dniami sprzedanym znowu został Wieczyn p. *Łaszczewskiego* (panów takich imiona należy zawsze podkreślać) jakiemuś porucznikowi von Katzler ze Szląska.

„A więc 19 majątków z kilkadziesiąt tysiącami morgów ziemi — pisze Dziennik — w niespełna 10 latach wyszło z rąk polskich w *jednym* powiecie! Trzebaby zawołać słowami Skargi: „Wielmożni panowie, przestańcie już raz kurczyć ojczyznę..."

„Kurczyciele" ci deliberują natomiast nad „walnymi wnioskami," których podstawą ma być traktat wiedeński... Jak gdyby traktat zdał się na co, gdy właśnie podstawa usuwa się coraz bardziej... Zawsze wielka polityka — a tymczasem tylko w małej zbawienie.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Uniwersytet krakowski. Katedrę historyi polskiej po Szujskim zajął St. Smolka.

Akademia umiejętności zajmowała się nadesłanemi (przez Nehringa, Węclewskiego i in.) referatami w przedmiocie pisowni polskiej. Na jednem z jej posiedzeń p. N. Sadowski wyłożył swój pogląd na podniesioną w ostatnich czasach sprawę Bolesławowego Szczerbca. Według p. N. miecz starożytny (będący obecnie w posiadaniu p. Bazylewskiego) służył rzeczywiście przy koronacyach królów polskich, ale nie może pochodzić z epoki Chrobrego, jest przeto Szczerbcem, ale mniemanym, legendowym.

Sekretarzem Akademii po Szujskim ma zostać p. S. Tarnowski.

Polemika. W kolumnach *Gazety Polskiej* toczy się ciekawa polemika, wywołana niefortunnym artykułem *Tygodnika Ilustrowanego*, w której nader wymowny głos zabrał i p. F. Sulimierski. Z przyjemnością zaznaczamy, że niegodziwe wrzaski naszej bandy literackiej nawet słabym echem w niej się nie odzywają.

Odczyty na Osady Rolne przerwały się na wykładzie p. Gersona. Dalszy ich ciąg nastąpi po świętach.

Coraz lepiej. *Goniec Wielkopolski* w odpowiedziach na trzy pytania: „któremu? za co? czemu" dobywa z grobu Szujskiego i chłoszcze jego zwłoki. Między zarzutami jest i ten, że zmarły czerpał ze źródeł rosyjskich. Ach, panowie, dosyć, dosyć tego dobrego — dla was. Niepodobna tak zawzięcie kalać—siebie.

Bibliografia polska. J. Krasicki *Dzieła* tomów 3 Kraków, nakładem Bartoszewicza.

— St. Skarbek *Amelioracye rolne* w guberníi płockiej, Warszawa.

— J. Supiński *Dzieła*, tom 3 i 4, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— *Biblioteka najcelniejszych utworów* zeszyt za marzec.

— L. Beaconsfield *Endymion*, przekład Eweliny Feinkind, Warszawa, nakładem J. Goldszmita.

— J. Baranowski, 2 part of the *Anglo-Polish Lexicon*, Warszawa, Lesman i Świszczowski.

— S. Sobieski *Zbiór autorów rzymskich*, objaśnionych przekładem dwojakim: słownym i wolnym. Tom I, Cornelius Nepos, zeszyt 2, Warszawa, Lesman i Świszczowski.

— Dr. A. Skorkowski *Rys nauki o śmierci*, Warszawa, Lesman i Świszczowski.

— K. Kalinowski *Pamiętnik* mojej podróży na Kaukazie i niewoli u Szamila, Warszawa, nakład W. Dawida.

— W. Tucewicz *Podręcznik do urządzenia lasów*, przełożyli studenci puławscy pod kierunkiem Krasuskiego (ogólnego wydawnictwa dzieł gospodarczych tom II).

— D. Zgliński *Humor w Panu Tadeuszu*. Warszawa, Lesman i Świszczowski.

— Dr. L. Wolski *Zarys historycznego przebiegu sprawy Schwarz-Kamiński-Länderbank*, Wiedeń.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Prenumeratorowi z Szadowa. Przed wyswobodzeniem z pod jarzmą tureckiego, prawie aż do roku 1840, bulgarowie zostawali pod wynaradawiającym uciskiem duchowieństwa greckiego, po wyższą naukę musieli się udawać do Aten, początkowe szkoły mieli tylko cerkiewne. Między 1830—40, dzięki t. z. partyi młodobulgarskiej, która z emigracyi (Bukareszt) przez towarzystwa wydawnicze (Braiła) i za pośrednictwem ofiar prywatnych (Apriłow, Palauzow, Milanowicz i w. i.) nietylko podniosła szkolnictwo i piśmiennictwo, ale nadto odwróciła młodzież dojrzalszą od helenizmu i zwróciła ją do uniwersytetów rosyjskich lub austryackich-słowiańskich. Pisma peryodyczne wychodziły w Bulgaryi tureckiej, ale nie wiele miały wpływu, rząd ciągle je zawieszał a wydawało je bulgarskie duchowieństwo (*Budusznost*, *Makedonia*, *Prawa*, *Uczilistia* i t. p.). W Bukareszcie wychodziły żywsze i bardziej wpływowe dzienniki. Jeśli Pan chcesz rozleglejszą informacyę, to polecamy Panu „Historyę literatur słowiańskich" Pypina i Spasowicza (po rosyjsku) oraz 3-tomowe dzieło Kanitza p. t. *Donau-Bulgarien*.

P. S. Mir. Ani słowa nie zmarnujemy dla takiego rycerza, którego już Koło literackie we Lwowie napiętnowało. Potem.

Uczniowi gimn. Patent gimnazyalny wystarcza do wejścia na każdy wydział bez egzaminu, a nadto potrzebna metryka. Patent nabiera wówczas wagi świadectwa bakalarskiego, a przemiana ta kosztuje: na wydziale lekarskim 180 fr., literackim 120, matematyczno-fizycznym 100, przyrodniczym 50.

P. W. K. Wyczerpane.

P. Józefowi B. w Moskwie. Nie ogłaszają.

P. B. Wit. Wkrótce wyjdzie sprawozdanie, wtedy napiszemy obszerniej a Pan dowiesz się szczegółów.

Pani Ew. Kr. Wyjdzie, jak zapowiedzieliśmy, zbroszurowany.

P. M. Red. Podobno drukował 70,000 egzemplarzy.

P. Al. Sk. Matylda Heine umarła, jeżeli nie w dostatku, to w każdym razie nie w nędzy. Legenda o pamiętnikach jej męża dotąd nie sprawdziła się. Pozostały jakieś papiery, ale tylko listy. Wieści o jej głupocie są prawdopodobnie tylko dalszym ciągiem oszczerstw, rzucanych na wielkiego poetę. Uczoną nie była, ale ale żeby nie wiedziała o pismach i sławie swego męża, to zakrawa na bajkę.

OFIARY.

Na wpis dla niezamożnych uczniów gimnazyum III Z. G. rs. 40.

Dla nędzy wyjątkowej: Marya Gliszczyńska rs. 3, Zofia Arciszewska rs. 3.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Марта 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.